

N0323_kr_FINAL_1_2_1

Irena Kozłowska: Urodziłam się w Warszawie w roku 1921, proszę policzyć. I mieszkłam w Warszawie do Powstania. Potem musiałam się wyprowadzić, ale to potem, potem. Mój ojciec był wyższym urzędnikiem kolejowym, mama nie pracowała, mam siostrę, jeszcze żyje siostra. Rodzice oczywiście nie żyją. Ukończyłam gimnazjum, liceum, Drugie Gimnazjum i Liceum imienia Jana Kochanowskiego w Warszawie, ulica Rozbrat 26. I zdążyłam to zrobić przed samą wojną w 1939 roku. W czasie okupacji zesłałam, że tak powiem, do podziemia. Pracowałam w tajnym nauczaniu, ale ponieważ ja jestem wolny strzelec, nie należałam nigdy do żadnych... Owszem, należałam, musiałam być zaprzysiężona, ale moja funkcja w tajnym nauczaniu była taka dziwna, mianowicie dziewczęta, które nie miały pieniędzy, żeby płacić za komplety, brały lekcje prywatne darmo u mnie i potem zdawały na kompletach. Tak się umówiłam z moimi nauczycielkami i to było właśnie tajne nauczanie przy drugim gimnazjum miejskim. To była jedna rzecz. Druga rzecz była, byłam w szkole zawodowej, żeby mieć ausweis, to się tak nazywało, a poza tym studiowałam rok w szkole, w Wyższej Szkole Teatralnej, która się zaczynała dopiero, pod kierownictwem Iwo Galla. Więc pierwszy raz, jak nas zobaczył, taką grupę, zresztą kierowała nami też, nazwiska nie pamiętam, ale pani, która prowadziła balet w Operze Warszawskiej przed wojną i zrobiła taki zespół. I wtedy Iwo Gall nam pomagał, jej pomagał przy reżyserii, wybrał tam kilka nazw i powiedział, że teraz będę z wami zaczynał szkołę teatralną. I tak zaczynałyśmy. Potem Basia Krafftówna przyszła, ale to było później, ale to już ja wtedy wyszłam z tej szkoły, wychodziłam za męża. Jeśli chodzi o organizację akowską, to zostałam zaprzysiężona na, to było na Placu Narutowicza, ale ja mieszkłam wtedy już na Okęciu, ale mnie to nie bawiło. Takie zadania, tam ćwiczenia były, ćwiczenia z bronią były, były jakieś transporty klasy tajnej ale mnie się trafiła zupełnie inna rzecz wtedy. Mianowicie u mnie, na Żabiej 9, był punkt kontaktowy "Cichociemnych". Wiecie co to były „ciotki”? To była moja siostra i była moja przyjaciółka, która tam mieszkała, a ja byłam, śmiałam się, że jestem wujenka i pomagałam im. Ja nie zgłosiłam się do tej grupy, bo byłam zaprzysiężona gdzie indziej, ale opiekowałam się tymi Cichociemnymi. O Cichociemnych powiem osobno, bo tak ustaliliśmy. Wyszłam za męża w 1943 roku w listopadzie, a Powstanie zaczęło się 1 sierpnia. Mój mąż, moi kuzyni wszyscy, moja siostra, wszyscy brali udział w Powstaniu. Ja niestety nie mogłam, bo już byłam w ósmym miesiącu ciąży, więc raczej to ciężko było do Powstania iść. Zostałam na Okęciu. Okęcie było wydzielone. Nie było włączone do Warszawy, tym niemniej byliśmy zamknięci w domach i nie wolno nam było wychodzić. Jak ktoś wyszedł przed dom, to Niemcy strzelali. Tak że przez całe Powstanie myśmy byli zamknięci w domach. Każdy uważał to, co robi. Mój ojciec akurat szczęśliwie miał urlop i przyjechał do mnie na Okęcie, i w nocy wychodził, i kradł kartofle na polu, bo tam było niedaleko pole i tymi kartoflami żyliśmy przez okres Powstania. We

wrześniu, pod koniec września urodził się mój syn. Nam groziło wywiezienie, cały czas były takie ekipy niemieckie, nawet przez ścianę. Ja rodziłam w tym pokoju, a przez ścianę było sześciu Niemców, tam mieszkało i czekali aż nas będą wywozić, ale jakoś się nie udało. I skończyło się szczęśliwie. 17 stycznia „wyzwolenie”, w cudzysłowie, jest. I rano wysadzają Niemcy elektrownię, i wysadzają hotel lotniczy, bo tam na Okęciu był hotel dla lotników i to taki śmieszny incydent. Mianowicie rano o godzinie 6:00 ja wchodzę do kuchni i widzę przez okno, jak hotel podskakuje tak do góry. Ponieważ byłam dobrze wyszkolona, wiedziałam, o co chodzi, otworzyłam okno, i to było jedno mieszkanie, które nie straciło szyb wtedy. Potem okazało się nieszczęście, bo ja miałam ogrzewane elektrycznością, kradliśmy oczywiście elektryczność, w mieszkaniu ogrzewane, gotowane na elektryczności, w tym momencie, jak elektrownia wyskoczyła, to ja zostałam bez niczego, z maleńkim dzieckiem w wózek i wtedy było 19 stopni mrozu w tym dniu. Więc prędko pobiegliśmy z moim szwagrem, w międzyczasie jeszcze zdążyła przyjść moja siostra i szwagier z Sadyby, bo oni byli tam w oazie, uciekli z transportu i przyszli do mnie, poleciliśmy szukać jakiegoś opału, jakieś deseczki, jakieś coś tam i tak się to tam opalało. W dzień temperatura w pokoju dochodziła do 10 stopni. To było ciepło, a w nocy woda zamarzała w kubelku i maleńkie niemowlę obok. Takie były warunki. Potem mój mąż szczęśliwie dostał się do niewoli, mój kuzyn tylko jeden zginął, a chyba czterech czy pięciu było w różnych obozach i ja dostałam posadę w Garwolinie. Tutaj znowu ciekawostka, ja uczyłam się języka angielskiego w szkole średniej. To były trzy szkoły średnie w Warszawie, gdzie był język angielski, poza francuskim, który był obowiązkowy. Znałam troszkę ten angielski, uczyłam się w czasie okupacji angielskiego również i spotkałam moją nauczycielkę angielskiego, która usłyszała to samo, co wam powiedziałam przed chwilą, mówi: "Wiesz co, to ty możesz uczyć angielskiego początku, bo teraz będzie w szkole angielski". Wypisała mi piękne zaświadczenie. To była pani autorka podręczników języka angielskiego. Mam tu schowane, do kuratora w Warszawie, Wolińskiego, to pismo. Ja posłałam tam w tym piśmie, jak on wiedział, kto mnie proteguje, to mi przyleciał i przyniósł mi krzesło z sąsiedniego pokoju. I tym sposobem dostałam uprawnienia nauczania języka angielskiego. I w kuratorium pyta się mnie ten pan Woliński, gdzie ja chcę uczyć. "W Warszawie jest na razie jedna szkoła otwarta, tam mogłaby pani, ale z Okęcia dojeżdżać..." Pieszko, właściwie nie było jeszcze komunikacji, do Warszawy to trudno. „Ale może pani gdzieś na prowincji". Ja wpadłam na pomysł, że ja pojedę do Garwolina, bo w Garwolinie tam byli moi znajomi, był wicedyrektor szkoły Górskiego sprzed wojny, pan Makulec. Stary znajomy moich rodziców, dawny, więc ja mówię, jak on tam mieszka, bo on tam w tym gimnazjum wrócił z Warszawy po Powstaniu do tego Garwolina, to ja jakoś tak lepiej. I pojechałam do tego Garwolina, i uczyłam w Garwolinie rok. Później wrócił mój mąż z niewoli. I to też z tym z powrotem było też ciekawie, zresztą to jest ciekawy historycznie, powiedzmy, mianowicie zerwał

się kontakt, bo ja jeszcze dostawałam listy z obozu, jeszcze jak byli Niemcy, a później zerwał się zupełnie kontakt i było połączenie radiowe. Polskie Radio otworzyło taką audycję, poszukiwanie rodzin. Ja nadałam komunikat dla mojego męża: "Jestem w Garwolinie, żyjemy, pozdrowienia". Nie sugerowałam niczego, żadnego powrotu. Zresztą uważałam, że lepiej, żeby nie powracał. A dodano, dopisano, radio dopisało: "Wracaj natychmiast". Jak on usłyszał taki komunikat, to wyobraził sobie, dlaczego w Garwolinie. Do głowy mu nie przyszło, dlaczego w Garwolinie, w obozie koncentracyjnym, gdzie ona tam jest w tym Garwolinie. Oczywiście prędko załatwił powrót, bo on miał jechać z Ameryki z bratem, bo się z bratem tam spotkał i przyjechał. Przyjechał na Okęcie, tam do tego naszego gniazda rodzinnego, dowiedział się, że jestem tam i nic się wielkiego nie dzieje. Jestem w tym Garwolinie, a jego rodzice postanowili jechać na zachód. Znaczący rodzice trudno, jego macocha, która była taka bardzo przedsiębiorcza, stwierdziła, że tam jest kraina mlekiem i miodem płynąca, wszystko dają za darmo, jedziemy na zachód. I pojechali. Pojechali do Świdnicy i powiedzieli mężowi mojemu: "przyjeżdżaj, mieszkanie, posada, wszystko jest fantastycznie, przyjeżdżaj". I przyjechał, dostał mieszkanie czteropokojowe, bardzo eleganckie, wszystko w porządku. Dostał posadę tam i napisał do mnie, że już wszystko załatwione, a na drugi dzień dostałam od teścia depeszę: "Mietek w szpitalu, przyjeżdżaj". To był sierpień 1945 roku. 1946, przepraszam, 1946 roku. Przyjechałam, rzeczywiście dowiedziałam się, że to jest zapalenie płuc na tle gruźliczym. On się tej gruźlicy nabawił w obozie. Myślę sobie, no, trzeba przyjechać, bo przecież kto się nim zajmie. I przyjechałam. Przyjechałam, matka się poświęciła, przyjechała matka ze mną, z tym maleńkim dzieckiem natychmiast szpital, po szpitalu sanatorium. W sanatorium dziewięć miesięcy, w sanatorium powiedzieli: "To się już nic nie da zrobić, pani zabiera". No, z twardą gruźlicą to dziecka nie mogę zabrać do szpitala. Jeszcze w szpitalu był dwa miesiące i zmarł. Ponieważ musiałam go utrzymać, musiałam płacić normalną stawkę za szpital i za sanatorium, bo żona nie mogła utrzymywać męża. On tylko trzy miesiące pracował, więc nie miał uprawnień, a ja miałam, bo ja byłam pracownikiem państwowym w szkole, ale nie wolno męża utrzymywać. Więc mogłam go utrzymywać prywatnie. Więc wtedy uczyłam od godziny 7:00 do godziny 11:00. Miałam lekcje prywatne. Musiałam zarobić na to wszystko, narobiłam długów. Długi spłaciłam, wracam do Warszawy. Co ja tu będę robić? Przyjechałam do Warszawy, do kuratorium, a anglistka, świetnie [niezrozumiałe, 00:11:30]. "Czy pani ma meldunek?" Ja mówię: "Mam od dziada pradziada, ale teraz nie mam się..." - "A to nie, proszę pani". Była taka polityka, że... Warszawiaków, którzy po Powstaniu wydostali się z Warszawy, nie przyjmowało się do Warszawy. Ci, którzy zdążyli w pierwszych dniach przyjechać, moja siostra na przykład ze szwagrem przybiegli, 18 stycznia i zajęli mieszkanie swoich rodziców, to zostali. Ale jeżeli ktoś później chciał, to nie, to się nie meldowali. Jeżeli ktoś pisze teraz, że ja przyjechałam do Warszawy w

latach tam 1946, przyjechał, bo on przyjechał z Grójca, czy z Wołomina, to mógł, bo nie był Warszawiakiem. Ale jakby był Warszawiakiem, to by był... Nawet jeżeli miał atrakcję, no, zajęcie tak jak ja na przykład. Nie, to nie. Wobec tego ja zdecydowałam się na studia. Wreszcie na jakieś studia. W 1947 roku ja się zdecydowałam. Aha, to tak było, że ja zdawałam egzamin wstępny we Wrocławiu, bo to najbliższy mój uniwersytet, wracając z pogrzebu mojego męża. Bo mój mąż został pochowany w grobie rodzinnym w Raszynie. Bo tam jest grób rodzinny. Więc jeszcze pamiętam, w takim długim welonie, jeszcze się tak chodziło wtedy z żałobą i na egzamin. I robiłam studia stacjonarne. Mieszkając w Świdnicy, dojeżdżałam cztery razy w tygodniu do Wrocławia, ucząc w dwóch szkołach. Uczyłam w szkole popołudniowej i przedpołudniowej, więc jak przedpołudnie miałam lekcje, to popołudnie jechałam na studia, a jak miałam po południu lekcje, to jechałam na studia rano. Czyli o 3:00 rano wstawałam, bo tak miałam pociąg, pociąg czasem dojechał do Kątów Wrocławskich albo gdzieś tam trochę dalej do Sobótki, stał trzy godziny i wracał. Bo już nie było dalej połączenia. A wracałam na łebka taką ciężarówką jakąś z robotnikami. I tak skończyłam studia szczęśliwie, dość szybko zresztą udało mi się. W czasie studiów spałam jakieś trzy godziny na dobę, normalnie przez cały czas. Wyszłam drugi raz za mąż, 15 lat żyliśmy, potem się rozwiedliśmy. I uczyłam, nie pozwolili mi wrócić, uczyłam w tej szkole, miałam etat w liceum i potem przeszłam na emeryturę, i tak koniec jest. W każdym razie nie narzekam na brak pracy, bo trochę piszę, trochę czytam, prowadzę w Świdnicy kuriozum zupełne, to jest koło polonistów w Świdnicy, które skończyło 50 lat dwa lata temu. W dalszym ciągu działa. Na czym to polega? Dyskusje literackie. Są ludzie... To niekoniecznie są... To się nazywa koło polonistów, ale mamy inżynierów, lekarzy, przychodzą i nowości wszystkie są omawiane, opracowane, każdy opracowuje jakiś referat, potem jest dyskusja i tak sobie jakoś żyjemy. Nie dużo jest w tej chwili osób. W tej chwili jest 12, 13, 15 osób czasem. Ale trzymamy się. Więc tak, kiedy umrę, to nie powiem, bo nie wiem.

Konrad Starczewski: Jeszcze mam takie pytania, gdyby pani mogła opisać wspomnienia dotyczące Warszawy przedwojennej. Jak wyglądało pani życie przed wojną, jak ono się układało i...

Irena Kozłowska: Więc... Jak się układało, muszę powiedzieć, że Warszawa była... Ona teraz jest bardzo przepiękna, ale o tyle była ładniejsza, bo ona wyglądała tak, powiedzmy tak jak Londyn trochę, do Londynu może była trochę podobna, trochę Paryż. Taka była. Mała była i tak jak ona, tak te miasta wtedy były jednakowym, to się nie różniło zupełnie. Ja przed wojną podróżowałam dużo po Polsce, jeździłam i zwiedziłam właściwie całą Polskę, wszędzie byłam, we wszystkich miastach. Lwów był piękny. Piękny był Lwów przedwojenny. Też to był taki mały Wiedeń. Piękny był dworzec, ja jeżdżę do Lwowa dość często, bo bardzo go lubię. Wilno było bardzo prowincjonalne. Teraz Wilno wygląda ładnie, też jeżdżę do Wilna.

Wilno było... Ono teraz jest miastem europejskim na dzisiejszą miarę, bo Litwini bardzo zadbali, odbudowali, a wtedy to było takie miasto właściwie żydowskie. Bardzo przyjemne było, kocie łby, obdrapane te kamieniczki, małe takie. A Warszawa była ośrodkiem kulturalnym dość przyzwoitym. Bo teatry działały, to były teatry na bardzo wysokim poziomie. Opera była bardzo dobra, warszawska. W porównaniu z tym, co... Ona jest bardzo piękna dzisiaj, tylko do niczego. Przede wszystkim tam nie ma akustyki, jeżeli państwo się nie orientują w tej dziedzinie. Nie wiem, czy wiecie, że tam są kropki na scenie i trzeba stawać w tym miejscu, żeby było słychać, to wtedy nosi. Jedyńy śpiewak to był Ładysz, który mógł śpiewać "Arię z kurantem" w środku tego, ale mu występowały żyły, jak ryczał okropnie. Tak że to było. Mieliśmy bardzo dobrych śpiewaków. Opera była prawdziwa. To znaczy taka studnia świetnie zbudowana, akustyka pierwszorzędna, teraz nie. Ale ładna jest. Wnętrze jest bardzo piękne. Jak nie pamiętam, kto ją projektował. Do nazwisk nie mam pamięci. W każdym razie jak przyszedł do tej opery, to o mało nie zemdlął. Projektant. To tyle. Więc w Warszawie życie kulturalne kwitło. Na przykład wieczorem, dzisiaj Nowy Świat, jest bardzo ładny ten Nowy Świat, ale tam jest pusto. Na Nowy Świat się idzie na spacer o godzinie 10:00, szło się o 11:00, pełno było ludzi, pachniało kawą wzdłuż całego Nowego Świata, muzyka, dancingi wszędzie ludzi spacerujących. Życie było. Wiezorami było życie. Teraz nie ma, jest ciemno, każdy się ogląda czy już kradną, czy jeszcze dopiero zamierzają. Więc tak to było. Przede wszystkim to jest okropna rzecz, co powiem, nie wiem, może się obrazicie, ale ludzie znali swoje miejsce w Warszawie. Nie mieszała się. Jak ja szłam do kawiarni, to nie bałam się, że koło mnie będzie siedział obywatel, który się upije i spadnie pod stół, a to mi się może dzisiaj zdarzyć. Nie było tego, bo takich panów nie było. Ci panowie mieli swoje knajpy i oni tam chodzili, i im to wcale nie przeszkadzało, swobodnie się czuli. A teraz oni się wszędzie czują swobodnie i to raczej mi się nie podoba. Teraz młodzież, szkoły. Były tarcze, były mundury, nikt się tego nie wstydził, wprost przeciwnie. Nosiło się z dumą tarczę, bo wszyscy wiedzieli, ja chodzę do dobrego liceum, wiadomo, który numer, wiadomo, kto, co to za liceum, jak to tam jest, wszyscy byli dumni z tego, że tak chodzą ubrani. Myśmy na przykład... Licea, wszystkie licea w Warszawie to były dwa lata, wiecie, jak to było? Nauczanie. Było tak, szkoła podstawowa siedem klas i dostawało się ukończenie szkoły z dyplomem, wykształcenie powszechne. Jeżeli ktoś chciał iść do gimnazjum, to kończył sześć klas i szedł do czteroletniego gimnazjum, studiował cztery lata i dostawał maturę, małą maturę, i miał wykształcenie średnie. Jeżeli ktoś zamierzał studiować na wyższej uczelni to chodził jeszcze dwa lata do liceum. Licea były profilowane, różne były. Były humanistyczne, matematyczno-fizyczne, przyrodniczo-chemiczne i tak dalej, i tak dalej. Wybierał sobie kierunek i szedł na studia. Egzaminów się nie zdawało na wyższej uczelni. Wystarczyło, że się zapisał i płacił normalnie, i chodził, i studiował. Młodzież licealna wszystkich szkół średnich w Warszawie

wykupowała abonament teatralny na dziesięć przedstawień. I co miesiąc chodziliśmy do teatru. W teatrze były sztuki dostosowane do programu nauczania, więc ja "Odprawę posłów greckich", "Fircyka w Zalotach", „Powrót posła", Szekspir był chyba. Wszystkie te sztuki programowe widziałam na żywo. Ja nie czytałam "Wesela", bo ja widziałam "Wesele" na scenie. Kto czyta "Wesele" i rozumie. Przecież to jest bzdura zupełna, co będziemy się tam łudzić. A jak zobaczył na scenie, to pamiętał. Ale teraz nie można. W każdym razie tak było w Warszawie. Była kulturalna, była piękna, była czysta. Przede wszystkim była bardzo czysta. Każdy dozorca miał taki obowiązek, że sprzątał odcinek chodnika przed swoją... Musiał zmiatać, w zimie odgarnąć śnieg, żeby nie było ślisko i było czysto. Każdy dozorca od godziny 8:00 wieczorem do godziny 11:00 siedział na ławeczce przed bramą i patrzył, kto wchodzi. O 11:00 zamykał bramę, i w nocy otwierał, jak ktoś dzwonił, dostawał 20 groszy albo 50, zależy od stopnia nasycenia alkoholem tego, kto wracał, i pilnował. Sprzątał wszystkie klatki schodowe, sprzątał podwórze, potem był taki... Taka złota rączka, więc reperował zamki, trzepał dywany, oczywiście odpłatnie, pilnował. I ci dozorczy w czasie okupacji to był skarb. Jeżeli dozorca był na usługach gestapo, to koniec pieśni. Takich kilku dozorców było na ulicy Wspólnej. Najwięcej aresztowań było na ulicy Wspólnej, wszyscy się dziwili dlaczego. Bo tam byli dozorczy na usługach. Natomiast na przykład u nas dozorca wiedział wszystko, to była duża kamienica, Żurawia 9, 56 mieszkańców. On wszystko wiedział dokładnie, gdzie, kto i kto do kogo przychodzi, i po co. Wszystko wiedział. I nic się nie stało. Bo on dokładnie wiedział, kiedy zamykać bramę, kiedy otwierać, kogo puszcząć, jak się pytali go Niemcy, to mówił, że nie ma, nie było, wyjechał dawno i tak dalej. On się opiekował. Więc tyle było. Teraz taksówki warszawskie były popielate i miały taki paseczek czerwono-biały, takie kwadraciki czerwono-białe dookoła i numerki, i to była taksówka. A w zimie, były zimy przedwojenne, mój syn się zawsze śmieje, że przed wojną zawsze było lepiej, sanki jeździły zamiast taksówek. Jezdnie były ślicznie śniegiem zasypane, zresztą zima była ciężka i można było za sankami jechać zamiast na... Tak wyglądała Warszawa. Czy jeszcze coś? Aha, jeszcze chciałam powiedzieć, więc ja chodziłam do tego liceum miejskiego. Było pięć liceów męskich i jedno żeńskie. Nie było koedukacji. Koedukacja była na prowincji. W Warszawie nie było. I zawsze był bal u prezydenta miasta, w Ratuszu, na placu w tym Ratuszu, który budowali. Tam była przepiękna sala balowa, fantastyczna. Był bal i wyobraźcie sobie, jakie myśmy miały powodzenie. Jedna szkoła żeńska i pięć męskich. I wyobraźcie sobie tak, ja dostałam... Bo każdy dostawał zaproszenie imienne, dostaliśmy zaproszenia, a w nocy umarła żona prezydenta Starzyńskiego. Odwołano bal. Jedyne bal odwołany to był właśnie bal, później byłam na balu.

Konrad Starczewski: A proszę powiedzieć, czy miała pani rodzeństwo?

Irena Kozłowska: Siostrę mam. Mam siostrę, tak.

Konrad Starczewski: A jeszcze, bo mówiła pani, że tata był kolejarem, pracował na kolei, a jak się nazywał? Znaczy jak się nazywał, imię.

Irena Kozłowska: Stanisław Lewenti.

Konrad Starczewski: A mama pani czym się zajmowała?

Irena Kozłowska: Mama moja domem się zajmowała. Mama zajmowała... Ojciec był wyższym urzędnikiem, tak że wystarczyło pieniędzy. Myśmy mieli drugą klasę, bo klasy były pierwsza, druga i trzecia nawet na kolei, więc bardzo wysocy urzędnicy mieli pierwszą klasę, średni, to mieli drugą klasę, a najniżsi funkcjonariusze mieli tę. I myśmy mieli, rodzina dostawała trzy bilety rocznie darmowe, a mieliśmy zniżkę 80%. A te trzy bilety to były bardzo chytne, bo to się robiło przerwy, więc my na przykład jechaliśmy, Warszawa-Wilno, Wilno-Gdynia, Gdynia-Warszawa. Jechaliśmy do Wilna, bo tam robiliśmy przerwę, potem jechaliśmy do Gdyni, robiliśmy drugą przerwę, drugą przerwę, za tym jednym biletem. W ten sposób wykorzystywaliśmy te jazdy i zwiedziliśmy całą Polskę, wszędzie byłam. Nie byłam tylko w Radomiu i zawsze marzę o tym, żeby jechać do Radomia, bo nigdy w życiu nie byłam w Radomiu. A powiem wam dlaczego, bo w Radomiu mój pradziad uczył w gimnazjum rosyjskim łaciny i greki. Tyle o nim wiem z opowiadań. Myślę, gdzie to liceum. Ale to było bardzo dawno i tak strasznie chcę jechać do Radomia, bo jeszcze pojadę. Po świecie pojeździłam trochę dalej niż do Radomia.

Konrad Starczewski: Ale to niedaleko, tutaj pociągi.

Irena Kozłowska: Jakoś tak nie mam okazji do Radomia jechać.

Konrad Starczewski: A proszę powiedzieć jeszcze, jak wyglądały te ostatnie miesiące przed wrześniem 1939 roku, jak pani to wspomina?

Irena Kozłowska: Więc tak, myśmy wiedzieli, że wojna będzie. I radio było, telewizji nie było w Polsce, bo w Anglii była już telewizja, więc myśmy wiedzieli, że wojna będzie. Ja bardzo śledziłam te sprawy, ten Chamberlain głupi, który uwierzył Niemcom, że oni nie będą nas zajmować. Przede wszystkim strasznie się bali Niemców właśnie Anglicy i Francuzi. Myśmy nie wiedzieli o tym, że oni się boją, a oni chcieli robić wszystko, żeby jakoś to tego. Oddać im to i tamto, jeszcze o korytarz głupi się tak ci Polacy tłuką. Dlaczego nie oddać korytarza Niemcom na przykład. Takie były historie. I te nastroje były. Myśmy byli na wakacjach bliżej, bo myśmy jeździli zawsze daleko. W 1938 roku byliśmy w Zaleszczykach, a w 1939 roku, ponieważ już ta wojna tak wisiała w powietrzu, to byliśmy tak, nasza służąca była z Rudy Talubskiej i do

niej żeśmy pojechali tam. Bardzo sympatycznie tam było w tej Rudzie Talubskiej. To jest na Garwolin, przed Garwolinem. Dęblin, tam. I myśmy tam byli. I radia się słuchało. I jak już tak mobilizacja, coś tego, to mama mówi: "To wsiadamy w pociąg i wracamy". I pamiętam, już była mobilizacja i na stacjach poszczególnych tak baby odprowadzały tych swoich chłopaków do wojska i był straszny lament, to pamiętam. Okropny był tłok w pociągu, wszyscy wracali i to było takie wrażenie bardzo nieprzyjemne. I mówię, jeszcze taki był zwyczaj przed wojną, czego nie ma dzisiaj, nigdy się nie jeździło z bagażami. Bagaż się zdawało na bagaż. Przyjeżdżało się z walizkami, brało się tragarza od dorożki czy od taksówki, on zanosił do tej bagażowej kasy i tam się zostawiało bagaż, i ten bagaż został wystawiony na peron ze stacji tej, właśnie na tej Rudzie Talubskiej, taka wielka stacja, bagaż był na tym. I na bagaż, myśmy oddali wtedy ten bagaż, i okazało się, że bagaż nie przyszedł, bagaż przyjdzie drugim pociągiem. Trzeba było poczekać. Przyjechał drugim pociągiem i jednej walizki brakowało. I ta jedna walizka była pierwsza nasza strata wojenna to była pierwsza walizka w 1939 roku. I potem wojna. Więc wojna, każdy pamiętał pierwszą wojnę... No, nie każdy, ale ci, którzy pamiętali pierwszą wojnę światową, to wiedzieli, że brakuje soli i brakuje mydła. Bo bez tego moja mama kupiła dziesięć kilo soli i kupiła ileś tam, pamiętam, mydła, takie było toaletowe, ileś tam sztuk tego, myśmy się myli tam z rok tym mydłem, bo wszyscy wiedzieli, gdzie mydła... Było mydło w czasie okupacji, sól była też. Nie było innych rzeczy, ale takie były doświadczenia. Zresztą wszystkie doświadczenia, które się ma z poprzedniej wojny, to zawsze do niczego nie służą. Doświadczenia były takie, że najlepiej siedzieć w mieście, bo na wsi to strzelają i mogą być okopy, i tak dalej. I jak potem było Powstanie, ja mieszkalam już wtedy na Okęciu, wyszłam za mąż i mieszkaliśmy na Okęciu, to ja wszystkie swoje najlepsze rzeczy wywozłam do Warszawy. Dziecko, które się miało urodzić, miało piękną wyprawkę przez babcię robioną, z kokardkami, ze wszystkim, ta cała wyprawka była w Warszawie, a jak on się urodził, to miałam dwie pieluchy. Właściwie nie miałam pieluch, podarłam prześcieradło, nic nie miałam. Bo wszystko mam w Warszawie. Więc takie były doświadczenia.

Konrad Starczewski: A proszę powiedzieć, czy... Tak pani właśnie powiedziała o tej pierwszej wojnie, czy na przykład tata pani ma jakiś epizod związany, znaczy epizod...

Irena Kozłowska: Więc ojciec, tata, był już wtedy na kolei, pracował na kolei.

Konrad Starczewski: Tak, tak, ale w pierwszej wojnie światowej...

Irena Kozłowska: W czasie pierwszej... Zaraz, znaczy mój ojciec miał takie nieszczęście, służył w armii rosyjskiej, bo był wzięty... Moja babka miała sześciu synów, z tego czterech było na wojnie. Więc ojciec mój został powołany do wojska, nie wiem, no, w 1915 roku, bo... Nie, chyba w 1914 roku, w każdym razie przed samą wojną poszedł do wojska, tego rosyjskiego wojska i miał niesamowite szczęście, bo tamtych

starszych synów babki to wywieźli w głąb Rosji. Jeden nawet w gwardii cesarskiej służył, bo był wysoki, przystojny i zgrabny. Ale gdzieś tam pod Mongolią, gdzie straszy, natomiast mój ojciec, jego jeden brat był zwolniony z wojska, bo był chorowity, był kompozytorem i skończył konserwatorium, grał na fortepianie i uczył muzyki generała, który nie wiem, jak się nazywał, generał rosyjski, który stacjonował w Warszawie. Był najważniejszy wtedy. I wtedy ten stryj poszedł do niego: "Mój brat idzie do wojska, czy nie dałoby się gdzieś tu go bliżej umieścić?" A on mówi: "A gdzie on mieszka?" - "Na Książęcej" - "To na Książęcej będzie służył", bo tam dalej na Książęcej jest... I ojciec służył na tej samej ulicy, na której... A jeszcze miał jedną ogromną zaletę, bo ojciec nie od urodzenia, ale od gimnazjum grał na waltorni. W orkiestrze szkolnej. Potem grał w orkiestrze wojskowej, bo to był bardzo taki trudny instrument i takich potrzebowali. Tak że właściwie nie bardzo się nasłużył, bo zawsze miał próbę, grał, potem gdzieś tam grał na jakimś tym koncercie i znów wracał do... Tak że jemu się to wszystko udało. Szczęśliwie jak się kończyła jego służba, to się zaczęła wojna i oczywiście zaraz poszedł na wojnę. Długo się nie nawojował, bo gdzieś tam, nie pamiętam, gdzie to, pod Kaliszem czy gdzieś tam, Niemcy włamali, otoczyli, wzięli do niewoli i ojciec dalej wojnę przeżył cztery lata w obozie jenieckim. I znów jest ciekawostka taka, to KARTA dostała, 20 zdjęć z niewoli niemieckiej. Z pierwszej wojny światowej. Bardzo ładne zdjęcia. Herbaciarnia, orkiestra gra, wszystko pięknie. Tylko nie mieli co jeść. Więc ojciec tam, jest takie zdjęcie, przy herbacie, herbata to była z tych takich suszonych buraków czy z czegoś tam, w tej herbaciarni, ale była herbaciarnia, ubrana w takie dekoracje. Mówi, że karmili ich żabami. Żaby i brukiew to było jedzenie. A tutaj wygląda bardzo elegancko. Dobrze im było w tej niewoli, mieli kawiarnię, orkiestrę mieli, wszystko mieli. Tak że ojciec przeżył niewolę tam. I potem jak wrócił z niewoli, to zaraz dostał posadę na kolei, bo grał na waltorni. I ponieważ był na kolei, więc nie poszedł do wojska, tylko bronił tego węzła kolejowego w Warszawie. Tam siedział zakwaterowany i tam siedział. Nie szedł na front. Tylko w tej służbie ochrony kolei.

Konrad Starczewski: A jakie jego dalsze losy były?

Irena Kozłowska: Ojca?

Konrad Starczewski: Tak, tak.

Irena Kozłowska: Nareszcie przestał już być... No, pracował na kolei do śmierci. Znacząco do śmierci...

Konrad Starczewski: Ale całą okupację w Warszawie.

Irena Kozłowska: Całą okupację w Warszawie i znów na kolei. I na kolei była bardzo ścisła konspiracja.

Konrad Starczewski: No, właśnie.

Irena Kozłowska: Oni świetnie to organizowali, te wszystkie wysadzenia pociągów i to wszystko, to było w konspiracji. Ale jak zostaliśmy wyzwoleni, to powiedzieli, że kolej była na służbie niemieckiej, bo była dyrekcja niemiecka i służba niemiecka, i wszyscy kolejarze mają odjęte lata do emerytury, te, które były w czasie okupacji. I za to, że się narażali, za to, że robili te wszystkie świństwa Niemcom, to zostali ukarani przez Polskę Ludową i musieli, ojciec musiał dłużej pracować na kolei po wojnie, o te całe cztery lata okupacji, bo przecież służył Niemcom.

Konrad Starczewski: A czy jakoś mogłaby pani bliżej scharakteryzować jego działalność konspiracyjną?

Irena Kozłowska: Trudno mi jest powiedzieć. Trudno mi jest powiedzieć. Nie mówił o tym. Zresztą nie mówiło się o tym. Ojciec siedział w konspiracji, mama siedziała w konspiracji, ja i siostra, w różnych grupach, nic. Ja nawet nie wiedziałam, jakie pseudonimy kto miał.

Konrad Starczewski: - Ale po wojnie też jakoś...

Irena Kozłowska: Po wojnie się jakoś, no, mówiło się ogólnie. Tam ojciec coś wspomniał, jakoś takich wspomnień...

Konrad Starczewski: I tata w którym roku zmarł pani?

Irena Kozłowska: W 1960 roku. Tata zmarł w 1960 roku.

Konrad Starczewski: Chciałem jeszcze, bo wspominała pani o tym tajnym nauczaniu, że uczęszczała pani na tajne komplety, właśnie jakby pani mogła jakoś tak to bliżej też scharakteryzować.

Irena Kozłowska: No właśnie więc z tymi kompletami. Więc wszystkie gimnazja warszawskie miały te tajne komplety. Ministerstwo było, tajne ministerstwo oświaty, wszystko było, matury były, wszystko formalnie. Ja na komplety nie chodziłam, już skończyłam, ale pracowałam, przygotowywałam te koleżanki do tych kompletów. Na komplety chodziła jeszcze moja siostra, bo młodsza. I komplety były organizowane w ten sposób, że było sześć-siedem osób na komplecie i te dziewczynki, które tam się uczyły w swoich mieszkaniach przyjmowały. To zmieniało się. To było bardzo chytrze urządzone, to wszystko miało w głowie dyrektorka nasza, wiedziała, gdzie jest, który komplet, a ileś tych, kilkanaście kompletów, bo to duża szkoła.

Konrad Starczewski: Pamięta pani nazwisko tej...

Irena Kozłowska: Pani Maria Rościszewska. Ona jest zresztą, ona brała udział w Powstaniu, tam jest gdzieś zanotowana. Teraz widziałam, wzruszyłam się bardzo, bo byłam na Krakowskim Przedmieściu, tam widziałam portret mego profesora historii i filozofii, Czesław Pawłowski, który zginął w Katyniu. Nie

wiem, w Katyniu... No, w każdym razie wystawa taka kатыńska jest tam przed Polonią i znalazłam tam jego portret i jego życiorys. To jest taki pan profesor. Zresztą... A, jeszcze bardzo ciekawa była nauczycielka, panna Zasuszanka. Nazwiska może nie słyszeliście, ale na pewno znacie „Marsza Lotników”. Grają często. Autorka słów "Marsza Lotników". Bardzo ciekawy typ. Ona miała narzeczonego, to był lotnik, Latfis się nazywał. On napisał melodię, a ona napisała słowa. Zginął w katastrofie. Ta pani zaraziła nas lotnictwem. Myśmy znaliśmy... No, przede wszystkim jak były wieczorki szkolne, to 12 lotników eleganckich, w strojach galowych, na bal zapraszali. Przy tej okazji mogłam poznać lotników tych, którzy polecili do Anglii, tam byli, i tam organizowali lotnictwo. Taka ciekawostka była, bo właśnie panna Zasuszanka zorganizowała im sztandar w Londynie. Też było ciekawe, mogę wam to powiedzieć. Więc ona tam działała, bo ona uciekła z Polski w czasie okupacji, przez jakieś tam zielone granice i z tymi lotnikami zawsze miała kontakt. I oni tam byli, wiemy jakie były losy tych naszych lotników, bo najpierw się bali, żeby nie... Bo to prymitywni ludzie, gdzieś z jakiegoś zachodu, w Londynie... Znaczą Anglicy zawsze mieli takie pojęcie, że Polacy w łapciach chodzą. I zobaczyli tych lotników, posłali ich do szkoły, spróbowali, co oni umieją, to tamci wszyscy instruktorzy oczy takie robili, że oni takich rzeczy nie ten... Tamci nie umieli, a ci umieją. I wreszcie jak była bitwa o Anglię, to się zdecydowali, że trzeba puścić tych lotników, bo kto będzie bronił Londynu. I to byli tacy głupi lotnicy, że jak była five o'clock tea, to wszyscy lotnicy szli pić, a Polacy głupi bronili Londynu na przykład wtedy. Nie szli na herbatę, dziwny naród. No, nie mieli tego sztandaru. I panna Zasuszanka stwierdziła, że oni muszą mieć sztandar, nie taki byle jaki gdzieś tam, tylko z Polski się sprowadzi. Zaprojektowany ten sztandar był i posłali do Wilna do zakonnic, które wyhaftowały ten sztandar, ale ten sztandar musi wrócić i ten sztandar wracał bardzo ciekawie, bo wracał przy pomocy ambasady zaraz jakiegoś takiego fikcyjnego państwa japońskiego, już nie pamiętam, jak ono się nazywało. Tam jakiś tam ten ichny ambasador japoński przewiózł to do Sztokholmu, a ze Sztokholmu ten sztandar przyjechał do Anglii z powrotem i był tak piękny. To miał być sztandar Dywizjonu 303, ale powiedzieli, że to świństwo jest. Każdy dywizjon będzie miał przez jakieś parę miesięcy ten sztandar u siebie. I sztandar był. Ja ten sztandar widziałam później w Londynie w muzeum, i jak się zrobiła Polska normalna, to sztandar przyleciał samolotem prezydenta Wałęsy i przyjechali zwierzchnicy najwyższych sił lotniczych Londynu, i przyjechali nasi chłopcy, już tak troszkę podstarzali, Urbanowicz między innymi przyjechał i przywieźli ten sztandar, było wręczenie sztandaru naszym lotnikom na placu Piłsudskiego. I sztandar jest przechowywany w Dęblinie.

Konrad Starczewski: A czy pani może uczęszczała na tajnym uniwersytecie?

Irena Kozłowska: Nie, nie.

Konrad Starczewski: Bo pani na tych tajnych kompletach nauczała, tak?

Irena Kozłowska: Ja nauczałam, tak.

Konrad Starczewski: Nie zdecydowała się pani na studiowanie na przykład.

Irena Kozłowska: Ja nie miałam możliwości, bo ja miałam tysiąc różnych zajęć. Troszkę tylko w tej szkole, no, teatralnej. W tej szkole teatralnej trochę tak, a jak już powiedziałam, na studia we Wrocławiu po śmierci, po pogrzebie mego męża. Wtedy już miałam czas, to mogłam.

Konrad Starczewski: Jeszcze wspominała pani o szkole zawodowej, która zapewniała te ausweisy, tak?

Irena Kozłowska: Tak. Genialna szkoła zawodowa.

Konrad Starczewski: Właśnie, gdyby pani mogła opowiedzieć.

Irena Kozłowska: Dyrektorką była pani Puternicka, ona też jest zarejestrowana jako Polska Walcząca, to była bardzo dziwna szkoła. Myśmy miały 19 przedmiotów. W tej szkole dekowali się wykładowcy uniwersytetów różnych i uczyli nas, czego tam mogli, więc to był bardzo, wszystkiego myśmy się uczyły, filozofii, myśmy się uczyły rachunkowości, to się nazywało, uczyliśmy się prawa i każdy, kto mógł, to uczył nas. Ja, jak miałam sprawę sądową, potem spadkową, to ja się broniłam bez adwokata i ten adwokat, który to słyszał, mówi: "A skąd pani to wszystko wie?". „Bo ja się w szkole uczyłam”. Tak że to był bardzo wysoki poziom. I między innymi tam, to wtedy ja zaczęłam chyba z tą szkołą. Tak, wtedy zaczęłam. Tam był zespół taki baletowy w tej szkole.

Konrad Starczewski: Gdzie ta szkoła się mieściła?

Irena Kozłowska: Ona się różnie mieściła, była na Książęcej, była na Marszałkowskiej, tam przenosiliśmy się, bo to były takie...

Konrad Starczewski: I ona miała jakiś profil, ta...

Irena Kozłowska: To się nazywało... Zaraz, jak to się nazywało? Wyższa Szkoła... Nie, to była średnia szkoła zawodowa. Już nie pamiętam, jaki ona miała tytuł. Myśmy się śmiały, że jesteśmy w wyższej szkole gotowania na gazie. Myśmy się uczyły gotować, uczyliśmy się. I właśnie tam było takie koło teatralne, które... To była taka nauczycielka baletu z tego, z Opery Warszawskiej. Też się tam dekowała, bo oni tam wszyscy mieli etaty i uczyli w szkole zawodowej drugiego stopnia. To była szkoła zawodowa drugiego stopnia i oni wtedy mieli ausweis. I tam się dekowali. Nawet do wyższej szkoły taka była pani Strasburger, tam jakiś inny, wszystko bardzo mądry ludzie, uczyli nas mądrych rzeczy, a to było głupio napisane tam

w tych świadectwach. I właśnie wtedy Iwo Gall przyszedł do tej pani, bo oni byli zaprzyjaźnieni, wybrał nas kilka z tego zespołu i zabrał do szkoły teatralnej.

Konrad Starczewski: A gdyby pani mogła jakoś opisać obronę Warszawy na przykład.

Irena Kozłowska: W 1939 roku?

Konrad Starczewski: W 1939 roku. Jak się do tego przygotowywano, jak...

Irena Kozłowska: Więc jak się przygotowywano. Przygotowywano się tak jak wszędzie, robiło się takie paskami na szybach, tak się zaklejało, żeby się szyby nie tłukły, robiło się jakieś takie zapasy.

Konrad Starczewski: A jaki nastrój panował w mieście, pani zdaniem?

Irena Kozłowska: Nastrój panował, że oczywiście to będzie krótko, bo przecież my mamy już, ofiarowali się Francuzi, Anglicy, robiliśmy demonstrację pod tym, cieszyliśmy się, przecież to parę dni tylko, przecież oni zaraz zbombardują, przylecą, wszystko będzie pięknie. Tak, kopaliśmy rowy, gdzieś tam kopaliśmy rowy, już nie pamiętam gdzie, przeciwlotnicze, wszyscy kopali rowy przeciwlotnicze i nastrój był radosny, bo przecież to tylko na parę dni, bo to i gdzie tam, w ogóle gdzie, mamy wojska nasze, nie puszczą ich. Ja jeszcze w trzecim dniu wojny, to byłam w teatrze w Warszawie. Tak. Takiego nastroju nie było żadnego. Dopiero jak zaczęły się te bombardowania i jak zaczęli strącać nasze nieliczne samoloty... Bzdura jest taka, że oni wytlukli nasze samoloty na Okęciu, to jest paszkwil, bo przecież my mieliśmy bardzo dobrych lotników i te kilka samolotów, które były ważne, to były ukryte i oni, część tymi samolotami puciekąta nawet. Tak że nie było... Ale nie miało być tych samolotów tam. Trochę strącili tam, ze dwa, może było widać nad Warszawą, jak był nalot. Później się okazało, że właściwie już nie ma, artyleria strzela, naszych samolotów nie ma. Jakoś ta Francja się nie rusza, nie ma. Coraz bardziej było ponuro. Nasi się bronili dzielnie. Ludzie schodzili do schronów, do piwnic schodzili. I na przykład u nas, myśmy mieszkali w Śródmieściu na Żurawiej, więc znajomi z obszarów takich podmiejskich, właściwie nie podmiejskich, tylko z Warszawy u nas mieszkali, myśmy mieli wtedy dwa i pół pokoju z kuchnią, to u nas było ze 20 osób tam. Tych znajomych wszystkich. I trzeba było to jakoś dożywić towarzystwo, a to było trudno. Sklepy pozamykane, nie było nic do jedzenia. Była służąca taka, nie pamiętam, jak ona miała na imię. Śmiesznie miała na imię. Która strasznie się bała burzy. Jak w czasie wojny była burza, to ona się chowała pod łóżko, ale jak było bombardowanie, to nie. Jak było bombardowanie, to ona leciała na miasto i przynosiła kawałek koniny. Jak koń jakiś padł, to dzielili i ona nas żywiła. Nic się nie bała, tylko burzy się bała. I dziwili się tam ci ludzie, którzy tam byli u nas. Ciekawa rzecz, bo pod nami, myśmy mieszkali na pierwszym piętrze, a pod nami był magiel i myśmy uważali, że w tym maglu to będzie bezpiecznie. To

była głupota, że magiel tak się rozhuśtał, to mógł nas wznieść przez ścianę, ale myśmy tak schodzili do magła, do piwnicy nie. I skończyło się. Niemcy weszli, Niemcy byli bardzo dobrzy, bo od razu były samochody ciężarowe i rozdawali darmo chleb ludziom. Więc taki cięższy proletariąt, jak ja to mówię, to Niemcy dobrzy, bo chleb dają. Od tego zaczynali, a później to już zaczęło się tak jak się zaczęło.

Konrad Starczewski: Proszę powiedzieć, ten fragment życia związany z konspiracją, jak to wszystko się zaczęło, gdzie pani zaczęła funkcjonować?

Irena Kozłowska: Więc ja mówię, że ja byłam zawsze wolny strzelec. Już powiedziałam, że ja zostałam zaprzysiężona na Okęciu, bo mój mąż tam bywał, ale mnie to nie bawiło. Ja chciałam coś robić i potem mi się przydarzyła okazja doskonała, bo w naszym mieszkaniu...

Konrad Starczewski: Ale zaprzysiężona była pani w Armii Krajowej.

Irena Kozłowska: Tak. W Armii Krajowej. Zdarzyła mi się przygoda, bo Cichociemni i u nas w mieszkaniu był punkt Cichociemnych. Więc ja się tym zajęłam. Miałam pod opieką, to grupa była sześciu chyba chłopaków i tutaj zaczęłam działać. Trzeba było coś przenieść, trzeba coś wynieść, trzeba załatwić, to przy tym chodziłam, a mimo że tam byłam zaprzysiężona. Ale to było jeszcze za mało, bo na przykład ja pisałam bardzo dobrze na maszynie i jak trzeba było pisać skrypty na tajne uczelnie, miałam kolegów, to ja przepisywałam. Z tym, że maszyny musiały być rejestrowane. Ja nie miałam maszyny, ale miałam takiego znajomego, który handlował złotem i rublami, z wierzchu, a spod spodu inaczej i miał maszyny, i wolno mu było mieć. To ja tam do niego chodziłam i przepisywałam to kilometrami te wszystkie skrypty na przykład. To było bardziej zabawne. A ci chłopcy to była grupa...

Konrad Starczewski: Pani ich przyjmowała od momentu...

Irena Kozłowska: Znaczy jak oni skakali, to taki był punkt kontaktowy, to był u mnie, a poza tym to był punkt kontaktowy, gdzie oni się spotykali z dowództwem, więc nawet raz miałam zaszczyt, chyba dwa razy był Nin u mnie w mieszkaniu, a w ogóle to oni byli pod opieką „Sana”. Zorganizowana, która miała działać na zachodzie Polski. To było specjalne szkolenie grupy tych Cichociemnych i oni się u mnie spotykali, tutaj mieli szkolenia.

Konrad Starczewski: Jak to wyglądało? Pani wychodziła z mieszkania i oni wtedy jakoś przychodzili?

Irena Kozłowska: Nie, oni przychodzili na wódkę, tak się nazywało na przykład. U nas było takie śmieszne mieszkanie, bo była amfilada, więc w pierwszym pokoju, oni w tym drugim pokoju mieli zebranie. I przychodzi do mnie kiedyś koleżanka, mówi: "Wiecie co, że podobno skaczą do Polski. Jak ja bym takiego

zobaczyła...", a tam było zebranie w drugim pokoju, "... to ja bym po rękach ich całowała", a siostra mnie trąca, mówię: "Ty iść, puść jednego, niech całuje". Ja ich pokażę zaraz, wam tu pokażę zaraz. Aha, więc zaczynamy od tych Cichociemnych, dobra.

Konrad Starczewski: A jacy to byli ludzie?

Irena Kozłowska: Zacznę od tego, zaczę od początku. Od początku to było tak, że był taki, Kalankiewicz się nazywał, w Armii Polskiej i on dostał się do Anglii, i wykombinował sobie, że trzeba zorganizować grupę spadochronową, bo jak tam będą z zachodu, jeszcze myśleli, zawsze oni nam będą pomagać, to będą grupy spadochronowe, oni na spadochronach będą tutaj skakać i taką grupę trzeba stworzyć. Tam on zaproponował to w dowództwie naszym, tak patrzyli na niego na wariata, grupa spadochronowa, spadochroniarze, głupota jakaś, to tego, ale drążył, drążył i wreszcie mówi: "No, niech tam będą na tych spadochronach". I teraz zaczyna się bombardowanie Anglii, bo do tej pory Anglicy uważali, że ich nie ruszą, bo oni są na wyspie, to nic im się nie stanie. Głupi naród straszliwie. Jak zaczęli ich trochę bombardować, to się zaczęli bać. I tam nasi lotnicy tam się do Anglii dostali, tam różnymi, te kanały i to wszystko wiecie. Więc oni mówią, że oni mają bardzo dobrych... Że trzeba zrobić grupę spadochronową. Dobra, jest grupa spadochronowa, ze spadochronami będą skakać, będą zrzuty i tak dalej. I zaczęli to organizować. Naszych tam wojskowych było mnóstwo i przeważnie w Szkocji siedzieli, w Aberdeen, przeważnie tam byli. Siedzieli, właściwie nic nie robili, ale tam zaczęli to namawiać, że się grupa spadochronowa, że oni się przydadzą. Bo oni najpierw nie chcieli w dowództwie, co to za grupa, z parasolami będą skakać i tak dalej. Ale wreszcie przekonali ich, że ci ludzie tutaj się szkolą, bardzo dobrze są szkoleni i jak się zacznie już wojna na kontynencie dobra, to się zrzuci tych skoczków spadochronowych i oni będą szkolili nasze, przecież najbardziej zorganizowaną armią podziemną to była polska armia, przecież my mieliśmy świetną armię. Wszystko było świetnie. Jedyny kraj, gdzie było tajne nauczanie, była tajna armia i tajne studia, wszystko było tajne, i wszystko grało.

Konrad Starczewski: My mieliśmy państwo podziemne, a inni mieli ruch oporu.

Irena Kozłowska: Tak, tak. Myśmy mieli państwo podziemne świetnie zorganizowane, wszystko było. Więc wreszcie to tak poszło i teraz... O czym ja zaczęłam? O organizacji tych skoczków.

Konrad Starczewski: Tak, jak to się zaczęło.

Irena Kozłowska: Tych spadochroniarzy. Więc stwierdzili, że jak się ich wyszkoli świetnie, najpierw musieli przekonać tam dowództwo polskie, bo też jeszcze nie było bardzo zorganizowane, to oni się tutaj przydadzą i oni byli fenomenalnie szkoleni, komandosi to zero przy nich. I nimi się zajmował pan Józef

Hartman, którego miałam zaszczyt znać, to jest pan Hartman, tutaj, o. I on organizował tamtych Cichociemnych. Tak on wygląda. Bardzo przystojny pan. To jest ten pan Hartman. On się nimi zajął i tam zaczął organizować te grupy spadochronowe. Zresztą im powiedzieli, że spadochron to jest bardzo dobry wynalazek, bo można i zrzucać tych skoczków, i oni się nazwali Cichociemni. Bo po cichu skakali. Oni skakali tutaj po to, żeby organizować te grupy partyzanckie, które były, i szkolić, ćwiczyć i tak dalej. O czym ja zaczęłam, zaczęłam od Cichociemnych, dlaczego?

Konrad Starczewski: Ponieważ była pani zaangażowana...

Głos: A jak się to zaczęło w pani rodzinie? Bo z tego wygląda, że pani rodzina była zaangażowana w ogóle.

Irena Kozłowska: Znacząca rodzina była zaangażowana, ale wyobraźcie sobie, że konspiracja była tak ścisła, że myśmy wszyscy wiedzieli o sobie, a każdy był w osobnej grupie i nie opowiadaliśmy na ten temat. Po prostu dlatego, że jak nas wezwą na gestapo i zaczną nam wrywać język, to żebyśmy nie gadali.

Głos: Ale o tym, że spotkania Cichociemnych u państwa w domu, to rodzina się zgadzała na to. Czy to było z pani inicjatywy, czy...

Irena Kozłowska: Tak, tak, tak, oczywiście tak. Bo u mnie mieszkała moja koleżanka, która... Ona się z tymi Cichociemnymi najpierw związała, potem nas wciągnęła, mnie i siostrę i oni przychodzili do nas. U nas były zebrania tych Cichociemnych, więc wódka, śpiewanie, gadanie, tańczenie, patefon i tak dalej, żeby... Proszę?

Głos: Jak koleżanka się nazywała?

Irena Kozłowska: Ona się nazywała... Ona się różnie nazywała.

Głos: To był pani kontakt przez nią, miała pani kontakt z Cichociemnymi.

Irena Kozłowska: Tak, przez nią z Cichociemnymi, bo ona, pierwsi Cichociemni, którzy skakali, to była pierwsza grupa, więc ona ich rozprowadzała i u nas był kontakt. U nas było mieszkanie, mieszkanie kontaktowe i oni przechodzili do nas, i oni u nas mieli wykłady. Myśmy bardzo dobrze mieszkali. Mieszkali na ulicy Żurawiej, ale w podwórzu. W podwórzu i to było pierwsze piętro, w głębi tam gdzieś, tak że ludzie chodzili po podwórzu różni, nie zwracało to uwagi. Tam oni przychodzili na ćwiczenia i przez tę koleżankę myśmy się wciągnęły z siostrą i tak to zostało.

Konrad Starczewski: A czy mogłaby pani jakoś zaratować pierwszą grupę Cichociemnych, która znalazła się w mieszkaniu?

Irena Kozłowska: U nas?

Konrad Starczewski: Tak.

Irena Kozłowska: Tak.

Konrad Starczewski: Kiedy to było?

Irena Kozłowska: Kiedy to było? Zaraz wam pokażę tutaj tych Cichociemnych. O, proszę bardzo. Macie. To był „San”, szef Kedywu obszaru AK Zachód, Jan Mielczarski, major. A to jest grupa Cichociemnych. Znaczy nie wszystko. Raz, dwa, trzy, a to jest właśnie ta moja koleżanka, która mnie prowadziła. To są ci Cichociemni.

Konrad Starczewski: A czy rodzice nie mieli nic przeciwko?

Irena Kozłowska: A skąd, moi rodzice w konspiracji siedzieli od urodzenia, od pierwszej wojny światowej, to dla nas to był normalny chleb, to w ogóle nie było żadnej...

Konrad Starczewski: Po prostu pani przyszła, powiedziała im, o co chodzi, bo musiała pani powiedzieć, kim oni są, prawda.

Irena Kozłowska: Oni wszystko wiedzieli. Oczywiście, oni wszystko wiedzieli. Ta koleżanka mieszkała u nas, bo ludzie mieszkali na kupie i ona miała pierwszy kontakt z tymi Cichociemnymi i Cichociemni u nas bywali, i...

Głos: Czy oprócz punktu kontaktowego jeszcze jakieś działania takie pomocnicze dla nich panie prowadziły?

Irena Kozłowska: No, oczywiście. Punkt kontaktowy że się spotykali to tak, ale jak było coś zanieść, coś przynieść, to zawiadomić czy, to byliśmy od tego.

N0323_kr_FINAL_1_2_1

Irena Kozłowska: Chyba to był 1942 rok. Więc ta koleżanka moja pierwsza po pierwsze miała z nimi kontakt i u nas był punkt kontaktowy z tymi Cichociemnymi. Nasza grupa, to ja grupy od razu... Więc opiekunem ich w Anglii to był pan Hartman, z którym potem w Anglii się spotkałam. To jest ten, major Hartman, a tam grupa...

Konrad Starczewski: A pani bezpośrednio nie uczestniczyła w tych spotkaniach, w rozmowach w tym mieszkaniu?

Irena Kozłowska: Powiedzmy, że może uczestniczyłam, bo jak było potrzeba coś wynieść, przynieść, to myśmy były do tego, bo to się nie nazywało, że my nie zorganizowane to zanieś, przyniesie, nikt nie będzie zwracał uwagi.

Konrad Starczewski: A ile trwało takie spotkanie jedno, powiedzmy, całą noc, kilka godzin?

Irena Kozłowska: To nie, to spotkanie, jak na wódkę przyszli, to całą noc, bośmy tańczyli, myśmy wariowali. Przecież to było tak: myśmy mieszkali w takiej oficynie, w domu bardzo dobrze było, nie słysząc i nic i taka była sąsiadka na parterze i słyszała, jak u nas się grało, tańczyło i tak dalej. I zawsze mówiła tak do mojej mamy: "Moja pani, za moich czasów w czasie pierwszej wojny światowej to młodzież do konspiracji należała, a u pani nic, tylko wódkę piją i tańczą". I bardzo dobrze. Więc tutaj właśnie na placówce, jak skakali, to ci skakali właśnie.

Konrad Starczewski: A proszę powiedzieć, jacy to byli ludzie pani zdaniem?

Irena Kozłowska: Znaczy w jakim sensie, jacy ludzie?

Konrad Starczewski: Nie wiem, jak mogłaby pani ich scharakteryzować.

Irena Kozłowska: Więc ja mogę o mojej grupie powiedzieć.

Konrad Starczewski: Proszę, bardzo proszę.

Irena Kozłowska: Więc to była grupa majora Milczarskiego, grupa Zachód. Oni byli zrzućani w różnych miejscach w Polsce, mieli koncentrację w Warszawie, ale byli przeznaczeni do akcji na zachodzie, jak ruszy ofensywa, to oni będą tam. I jakoś do tego nie doszło na razie i tutaj były tylko szkolenia, i między innymi właśnie szkolenia u nas w domu, bo jak już powiedziałam, to był ten punkt kontaktowy. To była grupa, zaraz pokażę ich wszystkich. Tak, więc teraz tak, to jest, o tak pokażę, to jest ten major Milczarski, dowódca, to jest Cholewa, Kret i Zachata. I ta koleżanka moja właśnie, Zenka. To jeszcze nie wszyscy. A tu jest ona na grobie swojego męża, bo byli w akcji. Więc bardzo byli weseli, bardzo sympatyczni, szalenie inteligentni. W tej grupie mojej to tak, więc ten pierwszy, powiedzmy, Cholewa, to syn przemysłowca z Poznania, z wykształcenia on skończył szkołę handlową, Wyższą Szkołę Handlową w Poznaniu. To wszystko wyższa szkoła. Potem „Kret”, czyli Kamiński, właściwe nazwisko Jachciński, to był, on kończył bankowość w Krakowie. Zachata był na uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Nazwisko Kornilowicz konspiracyjne, a nazywał się Benedyk. Potem jeszcze był „Wulkan”, już nie pamiętam, pseudonim, było ich pięciu. Specjalnie szkoleni. Ci Cichociemni fenomenalnie szkoleni, powiedzmy nasi komandosi to zero przy nich. Wszystko umieli. I poza tym byli bardzo inteligentni, bardzo sprytni. Jakie ich losy? Więc ten

Cholewa ożenił się z tą moją koleżanką, która ich prowadziła, ożenił się 4 stycznia, a 25 marca zginął w akcji pod Szymanowem. Pojechali tam po broń, wieźli tę broń ciężarówką, ciężarówkę zatrzymali Niemcy, oni świetnie mówili po niemiecku, ci moi koledzy, zaczęli ich zagadywać, tam wyszedł jakiś dowódca, mówi: "A co tam macie pod plandeką?" i trzeba było uciekać, uciekli, przestrelili ich i na wierzchu pod plandeką tam siedział Kazik, to ja mówię, pseudonimy, tam siedział Kazik i...

Konrad Starczewski: A pani jaki miała pseudonim?

Irena Kozłowska: Miałam Irka, po prostu swoje imię. Irka zawsze. I przestrelili opony, zastrzelili tych dwóch pod plandeką, ci uciekli z szoferki i właśnie on został... On nie, on nie został zastrzelony. On kazał uciekać Zachacie z Mirą, z tym szoferem, a on będzie się osłaniał, więc Kazika tylko zastrzelili na górze. Osłaniał, a tymczasem, tam był oddział tych Niemców, nie wiem, kilkunastu, on był jeden, więc ostrzeliwał się, póki miał, potem ostatni nabój se wstrzelił w głowę i nie oddał się. Oni kazali, Niemcy jak przyszli, to jego i tego, który tam był pod plandeką, kazali zakopać gdzieś tam. I przy tym zakopywaniu była nauczycielka wiejska, która tam była i zdążyła zdjąć im zegarki, i paski od spodni schować. I potem, to wszystko konspiracja była, było łatwo się dostać, dowiedzieli się, kto to jest i żony dostały na pamiątkę pasek od spodni i zegarek każdego. Między innymi właśnie ta moja koleżanka. Potem ten właśnie Kamiński „Kret” taki najmniejszy, przeżył wszystko. Brał udział w Powstaniu Warszawskim, brał udział w Powstaniu od strony Mokotowa chyba, tam Niemcy zajęli Mokotów, to on obszedł dookoła, jeszcze wszedł od Żoliborza, jeszcze przyszedł do Warszawy i jeszcze się dostał do niewoli niemieckiej, z niewoli niemieckiej jeszcze zdążył uciec. Oni byli straszni. Oni wszyscy skakali oczywiście do Polski, dostali się w Polskę, skacząc, dlatego się nazywali Cichociemni, bo po cichu i po ciemku skakali. Wszyscy byli bardzo sprawni, wszyscy byli szalenie inteligentni, wszyscy władający językami, jak się dzisiaj mówi poetycko, kwiat młodości. Tak ich robili.

Konrad Starczewski: A czy oprócz właśnie tej, dania tego mieszkania, prawda, bo pani jeszcze wypełniała jakieś inne obowiązki.

Irena Kozłowska: Więc były obowiązki. Meldunki się przynosiło, czy jakieś kontakty.

Konrad Starczewski: Jakiś kolportaż na przykład prasy konspiracyjnej.

Irena Kozłowska: Tak, kolportaż, kolportaż to już była w ogóle taka...

Konrad Starczewski: Codziennosc.

Irena Kozłowska: ...bardzo mniejsza działalność. Tutaj w tym wypadku to już z kolportażem. Trzeba było wylecieć, zobaczyć, pilotować któregoś z nich, powiedzmy, to tak byłeś na posyłki.

Konrad Starczewski: A jak pani wspomina spotkania, jeżeli pani jakoś osobiście może go widziała, z generałem Nilem.

Irena Kozłowska: Więc osobiście, osobiście tośmy powiedzieli "Dzień dobry", podał mi rękę, poszedł do drugiego pokoju, miał odprawę z chłopakami. To tyle. To tyle było, bo to była jego inspekcja. Tu myśmy się głównie spotykali z tym majorem Milczarskim, ale to była najwyższa inspekcja, jak przyszedł Nil. Ale miałam szczęście go zobaczyć, gościć w swoim domu.

Konrad Starczewski: Proszę powiedzieć, byśmy przeszli teraz do sierpnia 1944 roku. Jakby pani mogła opisać, nie wiem, te ostatnie tygodnie przed wybuchem Powstania, prawda.

Irena Kozłowska: Tutaj...

Konrad Starczewski: Co się działo wtedy w konspiracji, jak pani to wspomina?

Irena Kozłowska: Więc zaraz też powiem, też powiem, to jest dość ciekawe. Więc ja siedziałam na Okęciu i byłam w tych ósmych miesiącach ciąży, taka aktywna to bardzo nie byłam. Mój mąż latał na spotkania, na ćwiczenia, ale pamiętam bardzo ciekawe zebranie, tuż przed samym Powstaniem. Więc tak, robimy Powstanie. Oczywiście Powstanie będzie krótko trwało, bo przecież przyjdą Sowieci, bo stoją za Wisłą, słysząc, oni już Pragę zajęli, strzelają, więc oni przyjdą. Oczywiście, że oni nie będą chcieli przyjść, bo to dranie są, ale im każą, Amerykanie im każą i Anglicy im każą. Myśmy mieli takie nastawienie. Oni dostaną rozkaz i będą musieli wejść, wobec tego Powstanie będzie trwało trzy dni, cztery dni, to wytrzymamy, bo jesteśmy świetnie zorganizowani, bo byliśmy rzeczywiście. I z takim nastawieniem na tym zebraniu myśmy to postanowili. Tak że tak to będzie wyglądało. Myśmy nie mieli pojęcia...

Konrad Starczewski: Gdzie to zebranie było? Tam gdzieś na Okęciu, tak?

Irena Kozłowska: Gdzieś tam na Okęciu było, nie pamiętam gdzie już było, ale pamiętam tę treść, przebieg tego zebrania. Wiecie, że to są złodzieje, że to mogą nie przyjść. No, mogą nie przyjść, ale nie mogą nie przyjść, bo oni im każą. Przecież to są sojusznicy. Oni nas nie słuchają, ale tamtych to posłuchają, muszą ich słuchać, tak. Tak myśmy sobie wyobrażali.

Głos: Jak długo to było przed wybuchem Powstania?

Irena Kozłowska: To było, ja wiem, może dwa tygodnie, może tydzień. Powstanie już było, wszystko było przygotowane i wiadomo było, bo kontakty, punkty i tak dalej, to wiadomo było, że godzina "W" to jest 17:00.

Konrad Starczewski: A proszę powiedzieć, czy pani działając w konspiracji, znaczy funkcjonowała w takim przeświadczeniu, że właśnie to się skończy Powstaniem, czy ta myśl o Powstaniu dopiero gdzieś zaczęła kiełkować na początku 1944 roku, na przykład.

Irena Kozłowska: Nie, to dawno już...

Konrad Starczewski: To już wiadomo, że...

Irena Kozłowska: To już wiadomo, że Powstanie musi być, oczywiście że będzie, bo jeżeli...

Konrad Starczewski: Celem funkcjonowania...

Irena Kozłowska: Po co myśmy robili tę całą konspirację, przecież armia była świetnie zorganizowana. Wszystko było. Ale wiadomo było, że to musi być Powstanie, to wiadomo było. My uderzymy od tyłu i tam, i wszystko nam pomogą, to muszą, bo przecież ci... Myśmy nie zdawali sobie sprawy tak.

Konrad Starczewski: Ale otwarcie zaczęto rozmawiać tam na kilka tygodni przed Powstaniem, tak? Czy jeszcze...

Irena Kozłowska: Otwarcie to się właśnie mało. Konspiracja była świetna, to się mówiło, tylko po cichu. Że będziemy, to nie, to mowy nie było, nie było mowy. I mój mąż powiedział "Do widzenia", poszedł do Powstania, ja w dziewiątym miesiącu ciąży. Wszyscy kuzyni z Okęcia poszli, poszli do Powstania.

Konrad Starczewski: A mąż jak się nazywał, bo chyba jakoś...

Irena Kozłowska: Jak się mąż nazywał? Mój mąż się nazywał Mieczysław Mester, bo to był mój pierwszy mąż.

Konrad Starczewski: I pani... Jak wyglądały wydarzenia po 1 sierpnia, te pierwsze.

Irena Kozłowska: Więc 1 sierpnia, 1 sierpnia, jak już powiedziałam, jestem na Okęciu, jestem sama... Nie, z ojcem jestem, przepraszam. Bo ojciec do mnie przyszedł, ojciec miał urlop akurat i przyjechał do mnie, i został już i koniec, 1 sierpnia. Byłam z ojcem. Ale patrole niemieckie chodzą i strzelają jak leci, kto wychodzi, to strzelają i dobrze, bo się boją. Bo i Powstanie, oni nie wiedzą, jaki ma zakres Powstanie, terytorialny. I siedzimy. Siedzimy w domu i nic. W nocy, jak nie ma kartofli, ojciec wychodzi tam po lesie daleko, kopie i przynosi kartofle, i się gotuje kartofle, i siedzimy. I tyle. Samoloty wszystkie, które lecą z

bombami na miasto, mogłabym policzyć wszystkie bomby dokładnie, bo to przy lotnisku było. Startowały nad moim domem, tak że leciały nad domem jakieś, ja wiem, z 50 metrów najwyżej. Wszystkie samoloty, które bombardowały Warszawę. Więc samoloty i bomby lecą, widać tam wybuchy, widać to w Warszawie, ale siedzi się w domu i koniec, nic nie wiadomo.

Konrad Starczewski: Jakież wiadomości od męża?

Irena Kozłowska: Żadnych, skąd.

Głos: A mama? Bo mama została w Śródmieściu, tak? Pani mama.

Irena Kozłowska: Tak, mama w Śródmieściu, ojciec tutaj, mama w Śródmieściu i siostra też, siostra nie bardzo, bo siostra poszła... Nie, była w akcji, więc nie wiem, gdzie miała zbiórkę wtedy, tak że właściwie...

Głos: Ale mama została sama praktycznie.

Irena Kozłowska: Mama została sama, tak. Mama została sama i oczywiście zaraz włączyła się do akcji, nie wiem, co tam robiła, co było robić, gotowała pewno dla tych Powstańców czy coś, bo mama zawsze była czynna, bardzo wtedy. I tyle.

Konrad Starczewski: A jeszcze tutaj przed naszą rozmową oficjalną mówiła pani o lądowaniu amerykańskiego... Znaczący o amerykańskim samolocie.

Irena Kozłowska: Tak, też ciekawe?

Konrad Starczewski: Tak, tak. Proszę opowiedzieć.

Irena Kozłowska: Dobrze, to mogę opowiedzieć. Więc to było... Bym dokładnie powiedziała, kiedy to było. Tak, to było gdzieś w lecie. To było po Powstaniu. Po Powstaniu, bo to wydali... Ruscy już byli, więc oni... Już wiem, no, bombardowali Drezno. Bombardowali Drezno, mieli przestrzelony silnik. I najbliższy port lotniczy to była Warszawa, więc przylecieli do Warszawy, tutaj przejęli sojusznicy, Rosjanie i szukają takiego, co będzie mówił z nimi, dowiedzieli się, że angielskiego uczy, to ja, więc wziął taki ruski ten przewodnik i przyprowadził, nie do mojego mieszkania, bo ja miałam za małe, to do sąsiadów, zawołali mnie, żebym ja dogadała się z tym. I jak ja weszłam do tego, idzie takich dziesięciu drabów w mundurach, przecież nie widziałam nigdy munduru amerykańskiego, ładnie powiedziałam "Morning", spojrzeli na mnie, rzucili się do mnie, zaczęli gadać, ja nic nie rozumiem zupełnie. Ja się uczyłam angielskiego przyzwoitego, a oni mówią po amerykańsku, każdy z innego stanu. Uczyłam się, pani mówiła, że dobrze, angielskiego nic nie wiem, ale złapałam. "Wy jesteście Amerykanie?". Bo nikt nie wie, kto to jest. "Wy jesteście Amerykanie?" - "Tak" - "To mówcie do mnie po angielsku i wolno". To oni się roześmieli i

wyszedł taki jeden, wystąpił, i z nim się dogadałam. Z nim się dogadałam i tłumaczyłam temu ruskiemu, o co chodzi. Okazało się tak, że oni, prawie wszystko było zbombardowane, hotel był zbombardowany, który był dla lotników, na lotnisku, więc oni będą kwaterować po dwóch, po domach prywatnie. U mnie nie można, bo ja byłam, miałam jeden pokój z kuchnią, ale tam, gdzie byłam, gdzie ich wołali, to tam dwóch zostanie. I on ich rozprowadza po innych domach, tam po dwóch będą mieszkali. Dowiedziałam się od nich, że właśnie bombardowali Drezno, przestrzelony silnik i jak ich wypuścili z tego samolotu, to tak jak stali, przed samolotem postawili wartę sowiecką i im nie wolno wrócić do samolotu. Siedzą tutaj, mają siedzieć cicho. Stołówkę mają tam i tam, do stołówki na śniadanie, obiad i kolację, tu spać i koniec. I jedyna osoba, która się może z nimi porozumieć, to ja. Więc oni do mnie, pytają się. Ja mówię: "ja tyle wiem, co i wy akurat". Tyle, że mogę zrozumieć, co oni mówią. Oni siedzą. Siedzą. Zresztą bardzo mili chłopcy byli. Inteligentni bardzo. Szybko łapali polski, bo ja tam przecież nie jeździłam z wszystkimi po tych kwaterach, już z tymi Polakami już tam potrafią coś dogadać się, ale siedzą i pytają się kiedy. Ja mówię: "No, nie wiem kiedy, nie wiem kiedy". I siedzą. Chodzą na obiad tam, dostają codziennie kapustę i świńska tuszonka taka była. To z Ameryki przysyłana dla wsparcia armii radzieckiej, tylko po rusku napisane, więc jedli tę świńską tuszonkę i kapustę. Więc ja, jak mogłam, zaprosiłam ich do ciotki, która miała dobry stół, oni się strasznie ucieszyli i byli na przyzwoitym obiedzie, ale co będzie, co będzie. I wreszcie przyjechała na Okęcie Unra. Nie na Okęcie, gdzie? Na Saską Kępę. No, Unra, organizacja amerykańska. "Wiecie co, przyjechała organizacja amerykańska Unra, idźcie tam do nich, to się czegoś dowiedziecie", bo tutaj siedzieć i cicho, siedzieć i cicho, i nic więcej. Tam któryś mówi jeszcze po angielsku gdzieś tam dowódcy: "Siedźcie i czekajcie, siedźcie i czekajcie". Oni czekają tydzień, dwa i nic lepiej. I wreszcie poszli pieszo z Okęcia, pieszo poszli na Saską Kępę, wyobrażacie sobie? To dla nas jeszcze mucha, a oni w ogóle nigdy nie chodzą pieszo, ale poszli. I tam się dowiedzieli. Tam mieli kontakt już, już mieli z nimi kontakt, przywieźli takie paczki z Rosji duże, poczęstowali nas. Myśmy jedli, strasznie. Już byli ucieszeni. Myśmy... ja ich zaprowadziłam do Warszawy, pokazałam, jak wygląda zbombardowane miasto, bo oni nigdy nie widzieli, bombardowali z góry, ale w mieście zbombardowanym nie byli. Więc to wrażenie na nich robiło straszne. I potem chodziliśmy, pokazywaliśmy, wszystko i nagle przylatuje ta sąsiadka, u której oni mieszkali, bo u mnie nie, tylko u sąsiadki. Amerykanie wylatują. Odlatują. Ja myślę: "Tak? Nic nie powiedzieli, mnie nic, tylko odlatują?", wychodzę, ich już nie ma, poszli. Mówię: "Chamstwo". Można było powiedzieć "Do widzenia". No, nic. To był... Co to było? To był styczeń czy... Chyba styczeń był.

Konrad Starczewski: No, tak, jak byśmy jeszcze mogli wrócić do...

Irena Kozłowska: Ale zaraz, bo to jest ciekawe, jeszcze muszę skończyć. To się kończy jeszcze tak. Więc ja mówię: "Nie daruję. Chamstwo to chamstwo, mają się uczyć kultury". Ambasada amerykańska zjeżdża do Warszawy, w maju już chyba, pod koniec maja, w hotelu Polonia. Idę ja tam i do ambasadora. „Co takiego? Ja muszę porozmawiać o lotnikach amerykańskich". Wchodzę tam, ambasador. Ambasador się akurat mył, bo to w hotelu Polonia to był tak: pokoik, łazienka i koniec. W łazience się goli ambasador, a tutaj siedzi sekretarz. Ja mówię... Aha, nie, mało tego, zapomniałam najważniejszej rzeczy. Mnie ukradł aparat fotograficzny Amerykanin, bo ja robiłam zdjęcia. I on widział ten aparat, i oni jechali... A, już teraz sobie przypomniałam. Więc oni lecieli do Połtawy. Nie do Anglii, nie do Francji, tylko do Połtawy. Oni się strasznie bali tego. Pytali się, dlaczego... Ja mówię: "Skąd mogę wiedzieć?". Wzięli ten aparat. Przypuszczam, że chodzili tam jakieś zdjęcia robić. I kazał się... W tej Połtawie była zbiórka tych wszystkich takich po-podrzucanych tych Amerykanów, co ze spadochronami skakali, ich tam wszystkich koncentrowali i wywozili gdzieś tam do Anglii. W każdym razie ja tłumaczę, o co chodzi, że mnie amerykański oficer ukradł aparat fotograficzny. On mówi: "To cham". Ja im opowiadam tę całą historię, jak prowadziłam na obiady do ciotek, żeby jedli, bez przerwy tej świńskiej tuszonki. On mówi: "To pani ich gościła". Jak ja go tam, bardzo elegancko był, po angielsku i co on tam tego. I dobrze, zapisał sobie, ja zresztą wiedziałam, w jakiej oni są bazie i tak dalej, więc on wszystko zanotował, "Ja ich znajdę, to ja ich dopadnę", dobra, dobra. To było gdzieś... To był chyba maj. Ja dostałam posadę w Garwolinie, bo Warszawa była w gruzach i dostaję w Garwolinie pismo z ambasady, że znaleźli ich. I on powiedział, tam XY, powiedział, że on przez pomyłkę spakował aparat fotograficzny, który leżał na stole. A miał tylko kieszenie, bo nic... Jakoś musiał się tłumaczyć. Więc... I on powiedział, że ten aparat odeśle. I za parę dni przyleciał ten aparat. Taka była paczka. Wypchana papierami i gazetami polskimi, w środku był tylko goły aparat rzucony, a na paczce był napis "Gift", czyli prezent. On musiał coś przysłać w tej paczce, były tylko gazety i tylko aparat. A, bo to jeszcze dostałam zawiadomienie z poczty w wielkim mieście Garwolinie, gdzie dostałam posadę, idę na pocztę, dostaję tę paczkę, ale wyrwana taka z boku i tym gazety. Ja mówię: "Widzi pan, jest paczka uszkodzona" - "No, widzę". Ja mówię: "No, jak to jest". "To może pani reklamować" - "Dobrze". "Ale musi pani zostawić paczkę". "Nie, nie. Aparat z Ameryki to ja dostałam, ale jak tu zginie mi paczka, to z aparatem razem, nie chcę, dziękuję". I napisałam list, oczywiście taki był adres na tej paczce, 77 cyfr różnych jakichś takich, śmakich, owakich. List objechał całe Stany Zjednoczone, wszędzie napisane, że nieznanym adresat. Mam ten list na pamiątkę, dzisiaj wszędzie opisany tak. Koniec. Nic nie wiem. Miałam kolegę w Stanach, prosiłam go, czy może poszukał tych, jak poszedł ten list, to ten kolega umarł. Poszukam, żadnego kontaktu, się skończył i taka była przygoda mojego aparatu, a aparat wrócił, fotograficzny, to był historyczny aparat z kolei, bo to był jeszcze pierwszy jakiś,

nie pamiętam... Aparat był z kolei mojego szwagra, który siedział w niewoli w obozie, w Oświęcimiu siedział i ten aparat to była jego pamiątka, potem się dostał do Stanów, i do Stanów aparat pojechał, i on się okropnie ucieszył, że jego aparat się uratował. Przeleciał całe Stany. Taka była historia.

Konrad Starczewski: A proszę powiedzieć, jeszcze byśmy wrócili, całe Powstanie pani na Okęciu, tak?

Irena Kozłowska: Tak.

Konrad Starczewski: Można powiedzieć, mieszkała. Tam urodziło się dziecko, jak rozumiem. Czyli nie wiem, może były jednak jakieś wydarzenia, jakieś dni, które pani szczególnie zapadły w pamięć z tych dwóch miesięcy właśnie.

Irena Kozłowska: Jakie były wydarzenia? Że... Aha, więc ci Amerykanie, którzy lądowali tam na Okęciu spotkali się z lotnikami rosyjskimi u mnie w domu. I ja tłumaczyłam z angielskiego na rosyjski. Bo oni rozmawiali bardzo fachowo ze sobą. Tak że bardzo byli sympatyczni.

Konrad Starczewski: Znaczący ja mówię o Powstaniu Warszawskim teraz.

Irena Kozłowska: A jeżeli chodzi o Powstanie Warszawskie, to ja byłam zamknięta w domu, bo jeżeli ktoś wyszedł, to strzelali. Ja miałam takie, nie wiem czy pan zna Okęcie?

Konrad Starczewski: Tak, znam.

Irena Kozłowska: Więc ja mieszkałam na ulicy Mineralnej, to jest przy pętli tramwajowej, a cała moja rodzina po drugiej stronie tego pola, tam dalej, tam dalej, gdzie się nazywa Opacz. Więc ja musiałam kursować z tej Mineralnej na Opacz, przez te pola. Więc jak kiedyś szłam, to zaczął do mnie strzelać Niemiec.

Konrad Starczewski: Tam z obsługi lotniska na pewno.

Irena Kozłowska: Tak, tak. Zaczął do mnie strzelać, bo nie wolno było wychodzić z domu. Ja przyszłam tam do ciotki, bo ta ciotka mi obiecała, że mi mleka da trochę. Poszłam i siedziałam tutaj. Siedziałam z ojcem i ojciec kradł kartofle w nocy, i gotowaliśmy, i przeżyliśmy to Powstanie.

Konrad Starczewski: A później wkroczenie Sowietów, jak pani...

Irena Kozłowska: Aha, wkroczenie Sowietów. Wkroczenie Sowietów to było bardzo atrakcyjne, dlatego że oni wysadzili elektrownię, a ja miałam elektrycznością ogrzewany dom. Więc maleńkie dziecko w beciku, zima, 18 stopni mrozu, trzeba jakoś skombinować jakiś opał, wprawdzie piec miałam, ale nie było. I poszłam na Okęcie, tam już do szosy bliżej, żeby jakieś drzewo zabrać, węgiel czy coś takiego i

wchodzili Sowieci wtedy. W takich kombinezonach białych byli, pamiętam, futrzanych i cieszyli się okropnie, i strzelali na wiwat, i taki stał jeden za mną, za plecami, wywalił taką serię do góry, ale ja nie jestem wrażliwa na strzelanie, więc jakoś nie umarłam. I musiałam zbierać jakieś... Musiałam się postarać o piecyk żelazny, żeby ogrzewać to mieszkanie, musiałam się postarać o opał, o jakieś rury do tego piecyka. I tak siedziałam. Jak było dziesięć stopni tego, to kąpałam moje dziecko. Niemowlę kąpałam, jak było dziesięć stopni ciepła w mieszkaniu. To już była duża temperatura. I siedziałam tam, musiałam coś wymyślić. I właśnie wtedy wymyśliłam, że chyba pójdę uczyć do szkoły. Spotkałam moją panią od angielskiego, która była autorką podręczników, pani Klara Jastro.

Konrad Starczewski: A jeszcze przepraszam, jakby pani mogła powiedzieć, wieści o mężu i o mamie, bo oni poszli do Powstania, prawda?

Irena Kozłowska: Tak, tak.

Konrad Starczewski: Kiedy pani się dowiedziała, co się z nimi dzieje?

Irena Kozłowska: Więc tak się dowiedziałam, moja, znaczy mój mąż poszedł do niewoli, to się dowiedziałam, że poszli do niewoli. A że żyje, to nawet nie wiem, jak się dowiedziałam, że on żyje. Natomiast moja mama została wywieziona w góry z moją koleżanką, bo ta koleżanka też chwilowo mieszkała z moją mamą. I ta koleżanka postanowiła zobaczyć, czy ja żyję. Mamę zostawiła tam na wsi, i przyszła do mnie, bo wiedziała, gdzie ja mieszkam na Okęciu.

Konrad Starczewski: Ale po Powstaniu uciekła mama z Warszawy.

Irena Kozłowska: Wywieziona została. Nie uciekła, tylko została wywieziona i osiedlona tam przymusowo u jakichś chłopów. Strasznie ciemna wieś była, okropna. Okropna wieś. Mama tam ich uczyła jakiejs oświaty, więc byli bardzo wzruszeni. I ona mnie znalazła, stwierdziła, że ja żyję, że mieszkam w swoim mieszkaniu i dała znać mamie, i wtedy przyjechała mama. Żeśmy się znaleźli wszyscy razem w tym moim mieszkaniu na Okęciu. Tak żeśmy się pozbiali. Siostra ze szwagrem uciekli z transportu, bo oni byli w transporcie, bo brali udział w Powstaniu czynny, gdzieś tam w nocy uciekli i pieszo przyszli też do mnie na Okęcie. Ja miałam wytworne mieszkanie, pokój z kuchnią i cała rodzina się zmieściła.

Konrad Starczewski: Szczęśliwie, rzeczywiście.

Irena Kozłowska: I było zupełnie szczęśliwie. I ja potem dostałam posadę w Garwolinie, bo w Warszawie nic nie było, tam jedna szkoła była otwarta, to mnie już tam nie dadzą, a Garwolin był atrakcja wielka, bo anglistka przyjeżdża do Garwolina. I tam siedziałam.

Konrad Starczewski: Pani mówiła o tym, że mąż przysyłał listy, tak, że tam się pani dowiedziała, że on jest...

Irena Kozłowska: Tak, tak.

Konrad Starczewski: Że nie, bo to było tak, że pani dała jakieś ogłoszenie chyba.

Irena Kozłowska: Tak, znaczy ogłoszenie przez radio, że żyję, że mieszkam w Garwolinie, tak było. Mieszkam w Garwolinie. A oni dopisywali wszędzie na końcu "Przyjeżdżaj natychmiast". To nie ja. I on dostał taką wiadomość tam, bo on był w Niemczech.

Konrad Starczewski: A gdzie dokładnie był w obozie?

Irena Kozłowska: Zaraz, zaraz, gdzie on był w obozie? Był w obozie, ale już nie pamiętam w tej chwili. Jak mi się przypomni, to powiem. Więc on już wyszedł z obozu i on się spotkał ze swoim bratem, który wyszedł z Oświęcimia, tam się spotkali i obaj mieli jechać do Stanów. Bo oni nic nie wiedzieli, w ogóle, bo Warszawa zgruzowana, w ogóle byli przekonani, że ja nie żyję. I wtedy przez radio przyszła ta wiadomość, że przyjeżdżaj natychmiast. To ten od razu spakował manatki i przyjechał natychmiast, że się coś dzieje.

Konrad Starczewski: A dlaczego pani zdecydowała się na taki krok, żeby przez radio?

Irena Kozłowska: Bo ogłoszono, że można dawać wiadomość na Zachód tam, do radia, że się żyje. Takie były kontakty.

Głos: Przez Czerwony Krzyż też próbowała pani szukać męża czy tylko przez radio?

Irena Kozłowska: Nie, ja tylko przez radio, bo to było bardzo wygodnie. Dać wiadomość przez radio. A że oni dopiszą, to ja tego nie wiedziałam.

Konrad Starczewski: I dobrze, że dopisali.

Irena Kozłowska: Ja nie wiem, czy dobrze, że dopisali, bo już mi umarł za rok, po półtorej, wrócił z obozu z gruźlicą, a jakby pojechał do Stanów, to by wyleczyli mu tę gruźlicę. Tak że nie wiadomo, jak to było. Co z tego, on przyjechał, przyjechał z otwartą gruźlicą, zaraz poszedł do szpitala i rok się leczył jeszcze, i nic z tego nie wyszło.

Konrad Starczewski: A proszę powiedzieć, czy pani przeszłość konspiracyjna, akowska, jakby nie patrzeć, jakoś ciążyła na pani w pierwszych latach po wojnie?

Irena Kozłowska: Nie, ona nie ciążyła, dlatego, że ja się nigdzie nie ujawniałam. Bo były ujawnienia, były zgłoszenie, ja nigdzie się... Do niczego się nie przyznawałam i się nie ujawniałam. Nikt nic nie wiedział.

Konrad Starczewski: Jak już amnestia była, to pani...

Irena Kozłowska: Nie, nie, nie. Zupełnie nie, ja w ogóle nie wierzyłam, bo ja mam dobrą wyobraźnię i wiem, co to jest komunizm.

Głos: Z rodziny też nikt nie miał w tych latach stalinowskich.

Irena Kozłowska: Z rodziny tak, no...

Konrad Starczewski: Tata miał kłopot, tak? Że zabrano mu uposażenie.

Irena Kozłowska: Tak, tak.

Głos: Tak, ale jeżeli chodzi o jakieś więzienia...

Irena Kozłowska: Więzienie nie, nie, nie. Ani siostra się nie ujawniała, bo były te ujawnienia, zgłoszenia, my się nie ujawniamy, nikomu i nie potrzeba.

Konrad Starczewski: A proszę powiedzieć, bo przyszedł ten styczeń 1945 roku, wkraczają Sowieci, zaczyna się instalować ta władza i pani już jest dorosłą osobą. Już pani poznała życie, jaki był pani stosunek do tego całego wydarzenia? Co pani myślała o Rosjanach, czy miała pani jakieś nadzieje, tak jak część społeczeństwa, że może wybuchnie trzecia wojna, że oni może się wycofają?

Irena Kozłowska: Takie były jakieś, ale miałam taką śmieszną przygodę właśnie w związku z tym. Wojna się kończy i już mamy Sowietów tutaj. I spotykam mojego kuzyna. Ja mówię: "I co będzie dalej?" Mówi: "Byli Niemcy, po czterech latach poszli, przyszli Sowieci, za 50 lat też pójda". Tak mi wtedy powiedział. "Coś ty, zwariował?".

Konrad Starczewski: Nie wierzyła w to pani.

Irena Kozłowska: Nie wierzyłam. A on tak sobie spokojnie to powiedział, ja mam to zanotowane. Gdzie mu to do głowy przyszło? Tak że... To trudno było, ja to zawsze pamiętam, jak strasznie zakłamaną czas, wiecie? Bo my teraz mówimy normalnie, otwarcie, ten mądry, ten głupi, w rządzie czy nie w rządzie, w ogóle... A wtedy człowiek był tak strasznie zakłamaną, nie wolno było pewnych rzeczy mówić i jak mówili, że dobrze, to się klaskało, dobrze, tak, a co myślałam, to myślałam, straszne to było. Ja miałam taką koleżankę, ona była bardzo odważna, nie wiem dlaczego. Ja się bałam, bo pewnych rzeczy nie mówiłam, ale nie mówiłam... Ona uczyła historii i uczyła historii według nowego programu, tak jak było to powiedziane i nakazane. Kończy się lekcja, mówi... Dzwonek na przerwę, mówi: "A teraz wam powiem jak było naprawdę". Tak uczyła. Odważna była i nic jej się nie stało.

Konrad Starczewski: Widocznie miałam jakichś uczniów...

Głos: Porządných.

Irena Kozłowska: Właśnie to ciekawe jest, bo... Wiecie, to są tacy, ja nie wiem, to są ludzie tacy z jakąś taką ochronę zewnętrzną, nie wiem. Na przykład rewizja. Rewizje były w domu bardzo często w czasie okupacji, różne. Takie rewizje, czy jak wpadali, rewidowali, szukali czegoś, nie wiadomo czego. Na Okęciu, jak ja mieszkalam, to szukali Powstańców, bo Powstańcy wyszli i trzeba było ich znaleźć. Siostra moja ze szwagrem prosto z Powstania do mnie. Młodzi ludzie. Wpadają, rewizja. Dowód mój, dowód szwagra, siostra stoi, nikt się do niej nie zwraca. W ogóle. Jej nie ma, a stoi. Baba taka, akurat widać, że z Powstania prosto przyszła. Mnie wylegitymowali, szwagra wylegitymowali, rozejrzeli, poszli. I za każdym razem tak było. Moja siostra była nietykalna. Łapanka jest w Warszawie. Łapią, idzie, ona ma pełne kieszenie bibuły tajnej, przechodzi, tego rewidują, tego rewidują, a ona patrzy, przechodzi i idzie, nie widzą jej. Była niewidzialna. Nigdy jej nie rewidowali. Coś niesamowitego. Tylko jej. Tak że takie były sprawy Ducha Świętego.

Konrad Starczewski: A jeszcze wspomniała pani o kole polonistów w Świdnicy.

Irena Kozłowska: To jest.

Konrad Starczewski: Pani kiedy zaczęła tam funkcjonować?

Irena Kozłowska: Więc...

Konrad Starczewski: Bo to jest dosyć ciekawe. Bo rozumiem, że to jeszcze w czasach PRL-u się zaczęło.

Irena Kozłowska: Tak, tak, tak.

Konrad Starczewski: A pani w którym roku zaczęła tam funkcjonować?

Irena Kozłowska: Więc ja przyjechałam na Zachód zupełnie wbrew mojej woli. Bo ja powiedziałam, jak się skończyła wojna, że nigdy nie pojadę na żadne ziemie odzyskane, ja tego nie chcę oglądać. Jak powiedziałam, nigdy już od tej pory nigdy nie mówię "Nigdy". I mój mąż był w niewoli, nie było go, ja zostałam z dzieckiem, a moi teściowie pojechali do Świdnicy właśnie. I piszą listy, że: "Słuchaj, mieszkanie macie, pracę dostaniesz, przyjeżdżaj, przyjeżdżaj". Ja myślę: "Póki on nie wróci z niewoli, to ja tam sobie pojadę". I sobie pojechałam tam. Pojechałam sobie, jak wrócił, on wrócił z gruźlicą, rok sanatorium, umarł i tam zostałam. Mieszkanie rzeczywiście dostałam, cztery pokoje, bardzo przepięknie było, pracę od razu w szkole i dobrze. I zaraz jak on umarł, to ja wracam do Warszawy, przecież przyjechałam do

Warszawy, tak, pani anglistka, świetnie, a meldunek? Nie ma. Nie wolno. I zostałam tam na dzikim zachodzie.

Głos: Pani to koło polonistów zakładała, rozumiem.

Irena Kozłowska: I wtedy właśnie postanowiliśmy założyć koło polonistów. To 50 lat temu było. Tak było parę tych zwariowanych polonistów, trochę przedwojennych, więc na czym to będzie polegało. Literatura bieżąca, referaty na tematy literackie, dyskusje o tym, co wychodzi, musimy być na bieżąco, musimy wiedzieć. Poza tym jeszcze...

Konrad Starczewski: Ale proszę powiedzieć, czy to zakładaliście państwo z taką myślą, że to będzie w kontrze do tego systemu, który jest?

Irena Kozłowska: Nie, nie.

Konrad Starczewski: Czy po prostu chcemy jakby literaturą się zajmować.

Irena Kozłowska: Literaturą się interesowaliśmy. To nie znaczy, że „Rok 1984” Orwella poszedł w twardym druku.

Konrad Starczewski: No właśnie, o to mi chodzi, czy te książki takie na indeksie, że tak powiem.

Irena Kozłowska: Dyskusja, tak, tak. Na indeksie książki też szły wszystkie, wszystkie szły książki, jak szło. I była dyskusja na takie czy inne. Pewne tematy teatralne, myśmy wyjeżdżali do teatru bardzo często, był dobry, we Wrocławiu był dobry teatr, dyskusje teatralne były.

Konrad Starczewski: Czyli to była taka forma...

Irena Kozłowska: Forma dyskusyjna, tak.

Konrad Starczewski: Ale też jakby opozycyjna, prawda?

Irena Kozłowska: W jakimś sensie tak, ale na przykład przez dłuższy czas przewodniczącym była koleżanka komunistka z przekonania. Z przekonania, ona była przekonana, taki bardzo uczciwy komunista był. I ona na przykład wprowadzała nam takie tematy o jakiejś literaturze, takiej bardzo mocno zabarwionej i też dyskutowaliśmy, wszystko jak szło.

Konrad Starczewski: Ale jakichś takich kłopotów z tego tytułu, że się czyta Orwella i się dyskutuje...

Irena Kozłowska: Jakoś nie było. Nie było, wszyscy byli... Mimo, że ona była, ale jakoś była właśnie bardzo uczciwa i uprzejmie nie donosiła.

Konrad Starczewski: A jak na przykład... Czy sytuacja polityczna w kraju, te polskie miesiące, czy to jakoś się może przekładało na funkcjonowanie tego koła czy...

Irena Kozłowska: No, nie.

Konrad Starczewski: Polityka tam wchodziła w ogóle?

Irena Kozłowska: Nie. Ponieważ byliśmy o różnych orientacjach politycznych. Bardzo ciekawe, o różnych orientacjach politycznych, od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy. I od razu założyliśmy, nie rozmawiamy o religii, nie rozmawiamy o polityce i o czym jeszcze, nie rozmawiamy o chorobach. Nie ma o tym tematu i koniec. I bardzo dobrze nam się żyje, i bardzo dobrze się dyskutuje. Różne są zabarwienia. Były zawsze i nie przeszkadzało mi, nie było. O polityce nie rozmawiamy, nie rozmawiamy o religii, nie rozmawiamy o chorobach.

Konrad Starczewski: Cały czas się państwo trzymaliście tej zasady.

Irena Kozłowska: I już, i wszyscy zdrowi. I trzymamy się dalej. I trzymamy się dalej.

Głos: Pojawiali się w międzyczasie nowi członkowie?

Irena Kozłowska: Bardzo rzadko, bardzo rzadko, bo ludzie się boją. Boją się, no, przepraszam, że się pochwalę, poziom. Boją się poziomu, bo to jednak trzeba coś wiedzieć, trzeba coś wiedzieć. Chociaż jest takie małżeństwo, oni to... To są nauczyciele, ale powiedzmy, jakby to powiedzieć, pierwsze pokolenie intelektualistów. Oni nie zabierają specjalnie głosu i mówi: "Bo my się uczyliśmy". To starsi państwo są już w tej chwili, ale jak byli młodszy, 50 lat temu byli młodszy. To my się czegoś dowiemy. Też można tak. Tak że to jest ciekawe zjawisko, bo właściwie nigdzie chyba nie ma takiego... Wszędzie u nas nie ma regulaminu, nie ma składek, nie ma przewodniczących, nie ma. Zbieramy się w domach prywatnych, za każdym razem u kogoś herbata, jakieś tam ciasteczka i dyskusja.

Konrad Starczewski: Spontaniczny ruch, można powiedzieć.

Irena Kozłowska: Właśnie spontaniczny ruch, ale właśnie oparty o zainteresowania. I powiedzmy, to jest nie tylko literatura, bo my potrafimy wyjść jeszcze w bok, jakie są ciekawe zjawiska, to też się dyskutuje.

Konrad Starczewski: No, tak, ale mieliście też państwo świadomość, że jesteście jakimś tam ruchem niezarejestrowanym zupełnie, a już mówię o tych latach 60.

Irena Kozłowska: Oczywiście, tak.

Konrad Starczewski: Że może to się różnie skończyć.

Irena Kozłowska: To na pewno, to na pewno, ale szło. Jak myśmy kiedyś zaprosiły takiego pana wizytatora, który przyjechał z Wrocławia do nas, i on tak siedział, siedział, słuchał, słuchał, sobie myśli "A to ja nie wiedziałem, że to na takim poziomie jest", mówi. Ale to był taki hołd, wizytator.

Głos: Wspomniała pani jeszcze o majorze Hartmanie, major Hartman.

Irena Kozłowska: Tak.

Głos: Że spotkała go pani, będąc w Londynie.

Irena Kozłowska: Nie spotkałam go, ja z nim korespondowałam i rozmawiałam przez telefon.

Głos: Aha, nie, bo myślałam, że może była pani przy jakiejś okazji takiej właśnie rocznicowej Cichociemnych, że była pani może na jakichś obchodach.

Irena Kozłowska: Nie, nie byłam na obchodach Cichociemnych, tylko ja tam... Miałam tam z nimi kontakty w Londynie, ale... O, zapomniałam, bardzo ciekawą rzecz muszę powiedzieć. Więc ja z nim rozmawiałam przez telefon, chciałam się do niego wybrać, mieliśmy wspólnych znajomych, u tamtych Cichociemnych byłam. A mówi: "Proszę pani...", bardzo przystojny, widzieli państwo? Bardzo przystojny, elegancki chłopak. Proszę pani, ja nie jestem w takiej formie jak przed wojną, ja już jeżdżę na wózku. To możemy porozmawiać, ale nie chcę... No dobra, żeśmy rozmawiali. I on założył ogródek Rozarium. Wie pani o tym?

Głos: Tak. Dla każdego poległego Cichociemnego.

Irena Kozłowska: I w tym Rozarium oczywiście jest róża mojego Cichociemnego. Więc ja mu powiedziałam o tym, mówi: "Proszę pani, w tej chwili....", bo prosiłam... "Jak pani chce się ze mną spotkać, to niech pani przysła fotografię tej róży". Mówię: "W tej chwili nie mam, ale ja mam fotografię starszą, bo w tej chwili by róże nie kwitły. W jakiej porze, także nie". I przysłał. Przysłał mi z listem, przysłał mi tę różę, i byłam wzruszona bardzo, wyślę mu to. Bardzo sympatyczny pan. Tylko telefonicznie z nim rozmawiałam, bo nie chciał się pokazać, się wstydził.

Głos: A po wojnie jeszcze z kimś z konspiracji za granicą miała pani kontakt jakiś?

Irena Kozłowska: Ja czasem... W tej chwili nie jeżdżę do Londynu, ale jak jeździłam do Londynu, to się tam spotykałam z tymi ludźmi różnymi. Teraz jakoś droga wypada mi nie przez Londyn. Bo ja po świecie jeżdżę, jeszcze jeżdżę, wyobraźcie sobie. Nie na wózku, ale...

Głos: Jest Pani w znakomitej formie.

Konrad Starczewski: Pogratulować. A jeszcze mam takie pytanie, ponieważ teraz jakby sam temat Powstania Warszawskiego stał się takim tematem bardzo powszechnym i często dyskutowanym, i pani może nie była jakimś czynnym uczestnikiem tych wydarzeń, ale pojawiają się coraz częściej głosy, przynajmniej ja tak obserwuję, dyskusje na temat, czy Powstanie w ogóle miało sens.

Irena Kozłowska: Więc właśnie o to chodzi, ja zawsze muszę ludziom się tłumaczyć.

Konrad Starczewski: Mogłaby pani swoje zdanie na temat powiedzieć.

Irena Kozłowska: Ja zaraz mogę to powiedzieć, ja mam na ten temat zdanie. Ludzie dzisiaj myślą inaczej niż się myślało 50 lat temu. Jest inna forma komunikacji i wszystko się wie. Natomiast wtedy myśmy sobie doskonale... Ja pamiętam zebranie przed samym Powstaniem. Byłam na tym zebraniu, chociaż wiedziałam, że nie będę uczestniczyć, ale byłam na zebraniu. Myśmy sobie zdawali sprawę doskonale, że Sowieci nas nie lubią. Ale są sojusznikami. Idą, no, idą, bo już to jest przed samym Powstaniem. Idą od tej strony, więc oni muszą przejąć Warszawę, a my, Warszawa jest nasza, więc mamy wspólny cel. Wyzwolimy Warszawę od Niemców i oni to muszą przyjąć, bo im alianci tak każą, że oni to muszą tak przyjąć. Tak żeśmy sobie wyobrażali. Więc w tej chwili jesteśmy, będziemy ich... Na ten moment będziemy ich sojusznikami. Tak to rozmowaliśmy wtedy. Myśmy nie znali tej polityki dogłębnej, bo myśmy wiedzieli, Radio Wolna Europa, tylko tyle. I w ten sposób myśmy rozmowali. Myśmy... Znaczą Powstanie głupie, ja byłam przed samym Powstaniem na zebraniu i było powiedziane: "No, cóż, oni są już na Pradze, Sowieci są na Pradze, idą". Tutaj my łączymy się, łączymy się po tej stronie do walki i będziemy sojusznikami, no, trudno, nam się taki sojusznik nie podoba, ale jest. Ale jest sojusznik. My nie wyobrażaliśmy, że oni potrafią se stanąć. Tak to myśleliśmy. Myśmy głębokiej polityki nie znali wtedy. Chyba, że jak oni idą, już na Pradze są, to co, te dwa kroki nie przyjdą? Przyjdą. Ale Warszawę my wyzwolimy dla nich.